

# DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1,—.

Rok IX

Warszawa, 16 sierpnia 1953 r.

Nr 33 (403)

Mikołaj BIESZCZADOWSKI

## Zmierzch czy obietnice?

I.

NIEROSKŁON literatury Zachodu okrywa mgła. Jest tak gęsta, że nawet wprawny badacz ulega zniechęceniu. Tworzy ją ogromna rozmiarami produkcja, wielki ruch wydawniczy, różnorodność cząsteczek literackich, mnogość kierunków i ich odgałęzień, dezorientująca rozbieżność tendencji artystycznych, stylów i szkół.

Trudno jest przez taką gęstą ślepicę ruch literackiego kosmosu, prześledzić drogi, jakimi potoczą się jego gwiazdy, z ich lotu i z ich blasku prorokować przyszły kształt i postać tworzącej się literatury.

Ale, nawet dla pobieżnego obserwatora, ta mglistość nie wróży nic dobrego. Zbyt wyraźnie przypomina chaos. Płatanina wielu kierunków literackich, brak jakichś uzgodnionych kryteriów, które by pomogły w osądzie, bezideowość albo ideologiczna chwiejność — nie budzą zaufania.

A przecież literatura Zachodu miała niegdyś przemawiać językiem dzwicznym i czystym, językiem, który i dzisiaj wzbudza podziw swą mocą i swą precyzją. Nieustannie żywa i nieustannie owocująca, niby czujny świadek, towarzyszyła biegowi historii — wiernie odbijając jej przemiany i losy. Nieodparcie więc powraca pytanie: czy dzisiaj literatura Zachodu znajduje godnych kontynuatorów swej wspaniałej tradycji? Czy piśmiennictwo, które tworzyli Goethe i Balzac, Dickens i Flaubert nadal toczy się nurtem wyznaczonym przez tych wielkich realistów, reprezentujących najwyższe wartości kultury? Czy pisarze współcześni — ci, których nazwano pokoleniem 1940 od przybliżonej daty ich wystąpienia literackiego, są zaangażowani po stronie sprawy człowieka, czy ich twórczość jest wynikiem świadomych przekonań, odważnych postaw moralnych i doświadczeń społecznych — czy przeciwnie, jest tylko igraszką, albo gorzej: wyrazem ich wstrętu i negacji, aktem złej woli — jak określa literaturę Sartre posługując się swym ulubionym terminem „la mauvaise foi”? Jakież tendencje kierują jej prądami, dokąd zmierza i skąd czerpie, co obiecuje i czy dotrzymuje obietnic? Słowem, czy jest literaturą życia, czy głosi śmierć, poprzez formę i wyraz artystyczny ukazuje wieczne młode piękno świata, czy zapowiada już tylko własny zmierzch?

II.

WARTO przyjrzeć się uważnie Francji: nie dlatego, że stworzyła literaturę doskonalszą od innych — ale że, jak soczewka, skupia w swoich ogniskach umysłowych te prądy i tendencje, które, choć wyrósły na innych głębokach, dopiero w jej klimacie znajdują warunki pełnego rozwoju. I dlatego jeszcze, że Francja jest wciąż źródłem i wzorem dla innych, że dotąd stanowi model i przedmiot naśladowania.

Jest coś zadziwiającego w świetności tej literatury, która rozkwitła we

Francji w cieniu dwóch wojen. Krytycy tego okresu próbują wyjaśnić fenomen intrygujący nawet na tle całości literatury francuskiej, uprawianej od wieków jak ogród, harmonijnej w swej nieznużonej produkcji, nie znającej luk i przerw — nieustannym doskonaleniem się rzemieślniczym, pielęgnowanym przez wieki jak sekret produkowania doskonałych gatunków win. Wysoki artysta tego okresu każe myśleć o jakiejś euforii, jego bogactwo aż niepokoi i dlatego niektórzy z entuzjastów tej literatury nie wahają się zestawiać jej z największą epoką piśmiennictwa francuskiego, z wiekiem XVII. Nie wszyscy, bo są tacy, dla których pod maskami uroku, pod uwodzicielską doskonałością form jawi się pustka: widać ukryte pęknięcia i mizerny. Dumne zdanie, że Francja współczesna to już tylko Hellada nie dla wszystkich, kryje sens zaszczytny, można je uznać również za przyznanie się do klęski, dźwięczy w nim jak memento zapowiedź śmierci, której wedle prorocत्व Pawła Valéry podlegają cywilizacje. I dlatego najbardziej nieprzejędny z klerków, Julian Benda, ocenił tę literaturę surowo: „La France byzantine”. Taki jest tytuł jego książki, w której rozprawia się z okresem międzywojennym i taki jest sąd o tym okresie, jaki wysnuł ze swych analiz: literatura doskonała i martwa, odległa od żywej współczesności i zagubiona w jałowych poszukiwaniach za efektami formy.

Cóż pomoże czasem — dojrzewającym do zasadniczych rozstrzygnięć i nalażonych problematyką jak prochownia dynamitem — lodowata wyniosłość poezji Pawła Valéry? Jak przedstawić spięcia przebiegających tak szybko i narastających tak gwałtownie konfliktów prozy Prousta, która analizę psychologiczną doprowadziła do krańca pomysłowości? Czy bełkot nadrealistów potrafi pomóc w odkrywaniu istotnego sensu świata? A teatr? Ani pobłażliwa ironia i „ponadczasowość” utworów Jana Giraudoux, ani eksploatacja ciemnych terenów podświadomości dokonywane przez H. L. Lenormanda i jego szkołę, ani teatr aluzji, niedomówień i milczenia uprawiany przez Jana Jakuba Bernarda nie potrafiły wydzwignąć i przekazać dramatyczne go ciężaru epoki współczesnej. Może dlatego tylko pisarze niepokoju sumienia, albo pisarze prawdy społecznej i protestu bliżsi są pokoleniu, które dojrzało w ogniach drugiej wojny. Jest rzeczą charakterystyczną, że właśnie dzieła Bernanosa, Saint Exupéry'ego czy Romain Rollanda okazały się najbardziej żywotne i poszukiwane z całej bogatej twórczości okresu minionego.

Śmiem jednak twierdzić, że współczesne pokolenie pisarzy kontynuuje o wiele starszą i bogatszą tradycję swej kultury, czerpie z nurtu bardziej dla Francji typowego — z jej literatury moralistycznej. I tym terminem właśnie daloby się objąć wszystko, co we Francji jest obecnie ciekawe. Nie jest rzeczą przypadku,

że do Pascala nawiązują katolicy i egzystencjaliści — a cała twórczość pisarzy lewicowych czyż nie wyrasta z krytyki niesprawiedliwych stosunków społecznych i z rozważań nad sposobami zwalczania złego układu tych stosunków?

Zarówno marksista, jak pisarze katolicy, czy nawet wyznawcy filozofii absurdu — wszyscy oni są w rzeczywistości moralistami. Sprawy, które przedstawiają, i cele, o które walczą, dotyczą stosunków ludzi do innych ludzi albo do własnego sumienia. Zamknięte w kręgu zagadnień etycznych, proponują — każda z równą wiarą — sposoby rozwiązywania najtrudniejszych problemów.

III

LITERATURA lewicy społecznej we Francji może powołać się na dawną i bogatą przeszłość; reprezentując kierunek postępu społecznego osiąganego przez aktywny polityczny i świadomy stosunek do życia wywodzi go z dzieł, które przygotowały Rewolucję. W okresie międzywojennym i obecnie kierunek ten stworzył żywotną szkołę literacką. Podobnie literatura katolicka kontynuuje linię swych tradycji znajdując dla niej wciąż nowych reprezentantów w postaciach wielkich pisarzy i wydając arcydzieła.

Ale przypadek literatury egzystencjalistycznej jest szczególny. Ścisłe filozoficzne koncepcje, nieprzenikliwe dla profesorów i odgrudzone od nich trudnym językiem terminów, zaprzęta nieustraszenia tak specjalnymi, jak to, czy egzystencja wyprzedza esencję — wtargnęły nagle w literaturę — doznały olbrzymich sukcesów, zagarnęły nie tylko strefę powieści, przeszły do filmu, do piosenki, zdecydowały o stylu życia. Gdzie tkwi sekret tego powodzenia?

Egzystencjalizm został powitany jak wybawienie przez wszystkich, którzy nie umieli zdobyć się na decyzję jakiegokolwiek wyboru, więc dla tych grup bezideowej burżuazji, którym nieubłagana problematyka epoki ten wybór narzucała. Pozornie niezależna i pozornie buntownicza filozofia działała jak surogat protestu, zalecając ideę nieustannej wolności usprawiedliwiając poszukiwania i rozgryzając z braku decyzji. Ale to nie wszystko. Egzystencjalizm zwulgaryzowany, propagowany jako pseudofilozofia na użytek szerokiej publiczności, przywrócił pozorny kolór usuniętej ze stref krytycznej myśli laickiej metafizyce, stał się pokarmem tym wszystkim, którym racjonalistyczna, wywodząca się z kartezjańskiej koncepcji prymatu myśli filozofia nie wystarczała. Gorączkowo rozbudowała po wojnie literatura absurdu i pesymizmu — rozpatrzona dokładnie, budzi grozę. Obraz świata, jaki proponuje, akcentuje grozę jeszcze mocniej. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że fakt powstania takiej literatury ma wymowę i znaczenie klęski. Jej na wskroś antyhumanistyczny charakter, integralna negacja wartości ludzkiej, propagowanie nihilizmu pod róż-

(Dokończenie na str. 11)

W NUMERZE m. in.:

B. WIKTOROWICZ — Kadry polskiej techniki  
M. KORNASOWA — O profesorze Nitschu  
A. KRZYŻANOWSKI — Ostatni pociąg  
Z. ŁACZKOWSKI — Słoneczniki gorące  
J. GÓRSKI — Nieznane listy Adolfa Dygasłńskiego  
M. NOWACKI — Kraj kontrastów  
A. LUBKOWSKI — „Polacy nie gęsi” w Krakowie



Albrecht Dürer — modląca się Najświętsza Maryja Panna

Toteż na chwałę Boga Wszechmogącego, który Maryi Dziewicy ofiarcie użył szczególnej łaskawości swojej, na cześć Syna Jego, nieśmiertelnego Króla wieków, Zwycięzcy grzechu i śmierci, na większą chwałę czcigodnej Matki oraz na radość i chlubę całego Kościoła, mocą autorytetu Pana Naszego Jezusa Chrystusa, Świętych Apostołów Piotra i Pawła oraz Naszego, oznajmiamy, wyjaśniamy i określamy, że jest objawionym przez Boga dogmatem, iż Niepokalana Boża Rodzicielka, zawsze Dziewica Maryja, wypełniwszy bieg życia ziemskiego, została wzięta z ciałem i duszą do chwały niebieskiej.

Wyjątek z konstytucji apostołkiej Papieża Piusa XII „*Munificentissimus Deus*”, ogłoszonej dnia 1 listopada 1950 r.

Józef SZCZAWIŃSKI

## LEGENDA O GOŁĘBIACH WNIĘBOWZIĘTEJ

Złożyli uspioną Maryję  
Między nasturcję i lilje.  
W chłód otulili nocny  
Swoją troskę sierocą.  
Usnęli przy postaniu  
Ludzie i kwiaty stroskane.  
Przed świtem na ziemię spłynęli  
Przez Syna zesłani anieli.

Lecz próżny trud, nie zdoła nikt z przyjaciół dobrych zgonów  
Przez świata upór przychywy próg przenieść Panny Usnionej.

Ludzi nie budźcie — ciężka myśl i wzrok światła oporny.  
Któż by więc ze śmiertelnych mógł aniołów wspomóc dłońe.

Kiedy w najfraszobliwszej z trosk wysłańcom skrzydła zwiśły  
Lot ptaków jak przedranny sen powietrzem zakołysał.

I stanął gołębiami most, nad ziemią i otchłanią.  
Nim słońca gong obudził dzieci, już w chwałę wzięta Pani.

Odtąd gdy trzepot ptasich stad światła rozczesze grzebień  
Odnajdziesz w nim legendy ślad — biel zacerpniętą w niebie.

Kiedy nam przyjdzie twardo zasnąć,  
Ziemią się przykryć —  
Ześlij gołębca Twoich zasług,  
Naszej modlitwy.

Bolesław WIKTOROWICZ

# KADRY POLSKIEJ TECHNIKI

WIELKA GWARANCJA

JEST rzeczą bezsporną, że dla dynamiki postępu technicznego najważniejsze, genetycznie pierwsze, są kadry. I dlatego, jeśli się przegląda dział postępu technicznego tegoż rocznych nagród państwowych, przede wszystkim zwracając uwagę na nagrody twórcy. Obraz, który w tym wizerunku rzeczy się rysuje, uznać trzeba za niewątpliwie za źródło realistycznego optymizmu.

Bo zważywszy. Kiedy w 1945 r. stanęliśmy przed wielkimi zadaniami odbudowy, straty w majątku narodowym kraju mierzone monstrualną sumą 88 miliardów przedwojennych złotych, co stanowiło 1/3 majątku narodowego Polski przedwojennej. Wyównanie tych strat było rzeczą jasną możliwą jedynie pod warunkiem stworzenia odpowiedniej kadry fachowców. Tymczasem wojna i okupacja zadały naszemu szkolnictwu niezwykłe ciężkie rany, a oświatowy dorobek Polski przedwrzesniowej, szczególnie w dziedzinie tak ważnej dla odbudowy, jaką była technika, uznać wypada za dorobek więcej niż skromny.

Jedynie około 30% młodzieży szkół średnich kończyło szkołę zawodową, którą panująca opinia publiczna uważała za szkołę dającą nieporównanie niższy stopień awansu społecznego niż średnia szkoła ogólnokształcąca. Równocześnie ukończenie średniej szkoły zawodowej nie upoważniało do wstępu na wyższą uczelnię, co oczywiście obniżało znacznie atrakcyjność średnich szkół technicznych. Ponadto poziom nauczania w średnim szkolnictwie technicznym pozostawiał wiele do życzenia.

W gruncie rzeczy średnia szkoła techniczna nie dawała autentycznego ogólnego wykształcenia technicznego i nie dawała też pełnego wykształcenia specjalnego. Podawano wiele szczegółowych wiadomości z różnych dziedzin techniki bez wskazywania

istotnych wzajemnych związków, bez dokładnego pogłębienia jakiegokolwiek dziedziny wiedzy technicznej. Rzec można, że wiedza uczniów średnich szkół technicznych nie dawała żadnej pewności, że absolwent szkoły jest przygotowany do wykonywania określonych zadań w przemyśle.

Nielepiej przedstawiała się sytuacja na gruncie wyższego szkolnictwa technicznego. Brak szerszych perspektyw i wyraźnych kierunków rozwoju przemysłu, a przede wszystkim chwiejność koniunktury gospodarczej, utrudniały kształcenie inżynierów według określonych specjalności. Wyższa uczelnia typu politechniki, nie mogąc dostosować profilu studiów do zmiennych i nie dających się przewidzieć potrzeb przemysłu, realizowała program nauczania, którego cechą szczególną był obfity za sobą wiadomości encyklopedycznych z różnych dziedzin studiowanej dziedziny wiedzy technicznej, a jednocześnie brak pogłębienia wiadomości ściśle określonego kierunku studiów. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że inżynier już po uzyskaniu dyplomu musiał dwa, często trzy lata pracy zawodowej poświęcać na zdobywanie specjalności.

Fakty powyższe tłumaczy bez reszty ekonomiczna sytuacja, w jakiej znajdowała się Polska przed r. 1939. Według danych urzędowych udział kapitału zagranicznego wynosił w górnictwie naftowym około 90%, w elektroenergetyce 80%, a w hutnictwie ponad 50%. Obcy kapitał mógł zatem łatwo nie dopuszczać do tego, aby produkowano w Polsce maszyny, urządzenia czy artykuły przemysłowe, które były masowo produkowane w państwach zainteresowanych polskim rynkiem. Jakiegokolwiek próby produkcji asortymentów, nie wyrabianych dotychczas w kraju, tępieno bezwzględnie, a w Polsce produkowano to tylko, co się produkować opłaca

ło ze względu na niesłychanie tanią siłę roboczą.

Chodziło tu przede wszystkim o siły niewykwalifikowane. Specjalistów sprowadzano przeważnie z zagranicy. Nie łatwo było zresztą takich specjalistów wykształcić na gruncie rodzimym, albowiem przemysł nie stawił w gruncie rzeczy żadnych wymagań szkołom średnim i wyższym uczelniom. Ostatecznie mógł przecież dowolnie przebiegać w wielkiej masie bezrobotnych, proponując dowolną wysokość wynagrodzenia. Nie trudno sobie wyobrazić, jak w takiej sytuacji wyglądało zawodowe kształcenie na poziomie podstawowym i dokończanie w toku wykonywania zawodu.

Ale postęp techniki polskiej był torpedowany nie tylko przez ilościowy i jakościowy stan akcji kształcenia robotnika, technika i inżyniera. Brakowało w kraju warunków do pracy badawczej, związanej z praktyką przemysłu. Panujące koncerny zagraniczne, uruchamiając produkcję, wyznaczały bowiem Polakom przede wszystkim rolę bezpośrednich wykonawców i „laskawie” pozwalały nie troszczyć się o dokumentację techniczną. Laboratoria badawcze i biura konstrukcyjne znajdowały się nie w Welnoucu, Warszawie, Ożarowie, Mławach czy Pabianicach, ale w Sztokholmie, Amsterdamie, Brukseli czy Bazylei.

Otóż bogactwo nagrodzonych w tym roku osiągnięć, dokonanych w dziedzinie technicznego postępu, jest nie tylko jeszcze jednym potwierdzeniem faktu, że kapitalizm znikł z naszego kraju, że posiadamy kadrę techniczną zdolną do samodzielnej pracy twórczej. Świadczy ono także, jeśli się nań spogląda z perspektywy naszkicowanych wyżej pokonanych już trudności, o ogromnej dynamice w rozwoju naszej kadry technicznej. I dlatego rzecz można śmiało, że spoglądając na szeroki zakres nagrodzonych prac obejmujących: metalurgię, odlewnictwo, elektrotechnikę, elektroenergetykę i radiotechnikę, chemię przemysłową, wszelkiego rodzaju budownictwo, włókiennictwo, przemysł ceramiczny i optyczny, poligrafikę, żeglugę i rolnictwo, znajdujemy w nich gwarancję realności zapowiedzi 6-letniego Planu. Przewiduje on taki rozwój narodowej gospodarki, która wymaga (dotarczenia krajowi 420.000 osób ze średnim wykształceniem technicznym oraz 54.000 osób z wykształceniem wyższym. Bezsprzecznie są to poważne, trudne do zrealizowania liczby. Ale dynamika rozwoju naszych kadr technicznych, której wyrazem są nagrody państwowe za rok 1953, upewnia nas, że są to jednocześnie liczby realne, liczby, które mogą być osiągnięte.

## ZWYCIĘSTWO ZESPOŁU

**D**OSTRZEGAMY coś jeszcze: niezaprzeczalne zwycięstwo zespołowych metod pracy odniesione nad pracą indywidualną, osamotnioną. Pewno, zespołowość w technice naszej nie wszędzie jest jeszcze możliwa, nie wszędzie się jeszcze udaje. Jednakże przeważa już zdecydowanie nad pracą indywidualną i do niej to należy gros nagród.

Zwróćmy uwagę na charakter nagrodzonych zespołów. Są to na ogół zespoły mieszane w tym sensie, że wiążą jednością twórczego kolektywu uczonoego z tzw. praktykiem, naukowca z robotnikiem. O przykłady nie trudno. Nagrodę I stopnia za osiągnięcia w dziedzinie radiotechniki otrzymali: prof. dr inż. Paweł Szulkin, inż. Jerzy Auerbach, inż. Tadeusz Gawron, inż. Stefan Urbański, inż. Janusz Hrynkiwicz, inż. Jan Szyszkiewicz, inż. Zdzisław Drejak,

Zbigniew Szczypko — starszy technik, Aleksander Zabodziec — starszy technik. Za osiągnięcia dokonane przy uruchomieniu produkcji nowych asortymentów w dziedzinie optyki nagrodzono zespół, w skład którego wchodzi: inż. Jan Matysiak, inż. Jan Sobiesiak, Czesław Misiodek — frezer, inż. Mieczysław Saniewski, inż. Paweł Schleifer, inż. Antoni Sidorowicz, prof. dr inż. Witold Romer, inż. Tadeusz Wagnerowski, Stefan Górski — juster mechanik, Kazimierz Czyżewski — szlifierz, Zenon Łazarz — technik, Józef Przybył — topiarz szkła, Józef Stachniewicz — tokarz. Wymienione w spisie nagród opracowanie metody przyspieszonego cyklu produkcyjnego budowy żelbetonowych silosów przy zastosowaniu desekowań ślizgowych jest dziełem mgr inż. Herberta Balcera, mgr inż. Wincentego Zalewskiego, budowniczego Mariana Depieraly, inż. Bhdana Kurkowskiego, mgr inż. Anastazego Łopatyńskiego, inż. Mariana Stawowego, inż. Włodzimierza Kulnicza, technika budowlanego Wincentego Michalczewskiego, technika budowlanego Józefa Cibora, cieśli Maksymiliana Kabakowskiego, betoniarza Władysława Tarabasa. Nie będzie więc przesadą, jeśli powiemy, że przykłady powyższe wskazują wyraźnie na stały wzrost ściślego powiązania teorii z praktyką, pozwalają stwierdzić, że współpracę między naukowcem a robotnikiem poszczycić się dziś może wcale nie blahym plonem.

Przyznać trzeba, że nauki techniczne, których działalność poznawczą, zakres uogólnień z natury rzeczy manifestuje się bezpośrednim związkiem z praktyką, z produkcją, wczesniej niż inne nauki wyszły z odosobnienia gabinetów i pracowni naukowych, by nawiązać łączność z fabryką, planem budowy i nowoczesną gospodarką rolną. Zaraz po opuszczeniu kraju przez hitlerowskiego okupanta szereg naukowców pomagało w uruchamianiu wielu warsztatów i zainicjowało stałą pomoc w organizowaniu procesów kontroli produkcji. Na terenie wielu uczelni powstają laboratoria służące zarówno potrzebom dydaktycznym uczelni, jak i potrzebom przemysłu, jak np. Laboratorium Celulozowo-Papiernicze przy Politechnice Łódzkiej czy też Główny Instytut Elektrotechniki przy Politechnice Warszawskiej z oddziałem na Politechnice Wrocławskiej.

Obecnie uczelnie wyższe współpracują już stale z zakładami pracy produkcyjnej, pomagając, w rozwiązywaniu problemów pełnego wykorzystania posiadanych maszyn i urządzeń, wydobywania tkwiących w nich rezerw produkcyjnych, podniesienia wydajności pracy oraz potaniaenia produkcji. Niejednokrotnie pracownicy nauki biorą bezpośredni udział w aktywności zakładów przemysłowych, służąc swoją wiedzą w wypadkach specjalnie trudnych i skomplikowanych. Na terenie Klubów Racjonalizatorstwa, w Ośrodkach Metodycznych Pomocy Racjonalizatorom nawiązuje się współpracę naukowców z produkcyjnymi robotnikami. Jednocześnie powstaje coraz więcej tzw. dwójek inżyniersko-robotniczych łączących w pracy nad pomysłami usprawnień twórczą inicjatywę producentów pracy z wiadomościami i doświadczeniem naukowców — inżynierów. Coraz częściej dowiadujemy się o umowach dotyczących współpracy instytucji naukowych z zakładami pracy, nawiązywanej na gruncie rozwiązywania określonego zadania produkcyjnego. Dzięki takiej współpracy naukowiec może widzieć robotnika na tle warunków, które kształtują jego racjonalizatorską działalność, a robotnik z kolei zyskuje właściwe spojrzenie na funkcję społeczną uczo-

nego, na możliwości, jakie stwarza na wiązanie z nim współpracy.

Ostatnie nagrody państwowe, będąc świadectwem pełnego zwycięstwa idei pracy autentycznie twórczego zespołu wiążącego teorię z praktyką, stanowią oczywiste potwierdzenie sensu wszystkich tych poczynań i doświadczeń.

## MŁODOŚĆ WYZWOLONA

**N**A temat sukcesów, jakie odnoszą takie autentycznie twórcze zespoły, na temat trudności, które stają na drodze powstawania owych zespołów — rozmawiałem niedawno. I wtedy właśnie inżynier — naukowiec, starszy pan, który w carskim Petersburgu rozpoczynał swoją techniczną edukację, powiedział do mnie jakoś tak:

— Niech pan się nie dziwi, że my, technicy, często nie dostrzegamy niepoza patosem wiekiew budowy ogarniającej kraj. Nie tylko wielkie rzeczy, które tworzymy, są tego przyczyną, ale i ludzie, którzy je tworzą. Dawniej się młodzież techniczna marnowała, niszczyła na rupieciarni kapitalistycznego chaosu, dziś tworzy, pracuje, kształtuje swoją wiedzę, staje się twórczą kadrą wielkiego przemysłu. To, proszę pana, chwytą za serce, to porywa bez reszty.

Bo też tak jest. A dawniej? Przemysł międzywojennej Polski nie rozwijał się właściwie. Nic więc dziwnego, że liczba zatrudnionej w przemyśle młodzieży stale wahała się w granicach od 9 do 15 tysięcy. Tak zatem zakłady przemysłowe były praktycznie niedostępne dla ogromnej większości wchodzącej w życie młodzieży ze szkół i uczelni technicznych. Na rozwój zaś gospodarzy nie było co i liczyć. Gospodarka narodowa za leżała całkowicie od spekulanci i eksploatacyjnych kombinacji i przed sięwzięciem kapitalistów obcych i rodzimych, a poziom jej był funkcją stałą o możliwie najwyższe zyski osiągnięte na drodze kartelizacji, monopoli zacji i śrubowania cen. Rzecz jasna w konsekwencji takiego gospodarowania realizowanego na gruncie tej sytuacji ekonomiczno-społecznej i politycznej, w jakiej wówczas znajdowała się Polska, następował spadek konsumpcji wśród szerokich mas oraz wzrost bezrobocia.

Przeważająca część młodzieży próbowała więc zdobyć w życiu stanowisko i wybić się na drodze działalności opartej o wykształcenie techniczne, ale zaczynając pracę zawodową w drobnych zakładach rzemieślniczych, w sklepikach, straganach, fryzjerniach. W drobnym rzemiośle i drobnym handlu pracowała prawie połowa zatrudnionej w Polsce młodzieży męskiej.

Młodociani w przemysłowych zakładach pracy potrzebni byli tylko jako najtańsza siła robocza. Gdy młody człowiek podrośł i czegoś się nauczył, jego miejsce zajmował inny mały lub też po prostu bezrobotny, który, nawet mając jakieś kwalifikacje, pracował za tę samą cenę co robotnik niewykwalifikowany. Nic więc dziwnego, że statystycznie biorąc wśród tych młodocianych, którzy już rozpoczęli pracę, wzrasta z wiekiem procent bezrobotnych. Gdy dorastają do lat 17, bezrobotnych jest wśród nich 20%, w wieku lat 18—20 około 25%, a w wieku 21—24 ilość bezrobotnych dochodzi do 40%.

Wielu jest młodych pośród tych, którzy otrzymali tegoroczne nagrody w dziale postępu technicznego. Dziś pracują ramię w ramię w ludźmi dobrze pamiętającymi tamte, kapitalistyczne czasy, są żywym świadectwem wyzwolenia młodocianych z rąk kapitalistycznego marnotrawstwa i wpręgnięcia jej w służbę oszalałemu jako potężnej produkcji.

Bolesław Wiktorowicz

## FILM

### DUMNA KRÓLEWNA

*Dumna królewna* — reż. B. Zeman według opowiadania Bożeny Němcovej pt. „Pycha ukarana” — scenariusz opracował O. Kautsky. W rolach głównych A. Kohoutova, i V. Raz. Film prod. czechosłowackiej.

**B**AJKA dla dzieci Bożeny Němcovej pt. „Pycha ukarana”, na której został oparty film „Dumna królewna”, jest bezpretensjonalnym dydaktycznym opowiadaniem. Jak w każdej bajce, unowocześnionym królewskiej scenarii jest tu dla przejrzyście moralizatorskiej fabuły. Film B. Zemana zachowuje zdrową tendencję bajki — pochwałę pracy, dobroci i sprawiedliwości — wskutek tego konwencjonalne tło i akcja stają się konkretne, wysuwając się jakby na pierwszy plan. Postaci z bajki nabierają życia, ich przygody i konflikty — prawdopodobieństwa i chociaż zachowane zostało baśniowe, stylizowane otoczenie, nieokreślone miejsce i czas trwania akcji — działa to na odbiorcę inaczej niż w bajce literackiej. Następuje jakby odwrócenie funkcji jej poszczególnych elementów. W literackim tekście — główną rolę odgrywa warstwa dydaktyczna, w filmie — staje się ona tłem, wybija się natomiast fantastyczna ale żywa i konkretna fabuła.

Reżyserska konkretyzacja baśniowych motywów i postaci została na ogół utrzymana w tonie trochę żartobliwej stylizacji. Oba królestwa i dwory, obraz utopijnych państw, a szczególnie kraju źle rządzonego przez doradców zniechęconego króla — w którym nawet śpiew jest za kazany — mają cały wdzięk baśniowych przenosiń. Sama natomiast historia królewny Krasomily i króla Mirosława została potraktowana jakby nabyt serio, trochę tak, jakby Mirosław był w tej bajce odpo-

wiednikiem francuskiego Fanfana Tulipana z filmu Christiana Jaque'a. To zapewne przypadkowe podobieństwo uderza przez szereg podobnych sytuacji i „chwytów”, przez pewną analogię reżyserskiego ujęcia postaci. Razi — ponieważ film o Fanfanie był konsekwentną satyrą historyczno-polityczną, a realistyczne ujęcie fikcyjnych przygód bohatera było elementem tej satyry. Dawało dodatkową porcję dowcipu. „Dumna królewna” natomiast jest bajką dydaktyczną, przygody króla Mirosława są pretekstem do wyrażenia moralu i ujęcie tych przygód „na serio” raczej osłabia wymowę opowiadania.

Mimo to (a może właśnie dlatego) — fabuła wciąga odbiorcę i żywo go interesuje. Film podoba się nie tylko dzieciom, ale kino chętnie zapamiętują i dorośli. Ujmując romantycznie, barwną akcją, elementami naprawdę rozrywkowego lekkiego filmu.

Reżyser i operator potrafili podkreślić atrakcyjne walory fabuły, ładnie pokazać baśniowe kraje, zręcznie połączyć satyrę z nastrojem scenarii, konwencjonalne wątki z barwnymi, niemal realistycznie ujętymi przygodami, wbrać trafnie wykonawców głównych ról, postarali się wydebić wdzięk i łatwo działający, bezpretensjonalny urok opowiadania.

O wartości tego milego i lekkiego filmu decyduje staranna, dobra robota reżysera, operatora i montażysty. Bardzo ładne dekoracje i wyrównana gra zespołu aktorskiego. Być może, ten sam scenariusz mógł być lepiej wykorzystany dla filmu kukielkowego, w którym tak celują Czesi, niemniej jednak — i ta próba inscenizacji z żywymi aktorami wydała przyjemny i atrakcyjny film. Leszcz

Maria KORNASOWA

# O profesorze Nitschu

Początek XIX w. przyniósł znaczne ożywienie się ośrodków naukowych i kulturalnych w Polsce. Prądy płynące z Zachodu skierowały myślenie w nowe, dotychczas zaniedbywane dziedziny, zwróciły zainteresowanie ku ludowi i jego kulturze, odnajdując bogactwa dawniej zapoznawane. Wiąza się z tym nadzieje wyzwolenicze, „k nieustannie żywe w polskim życiu porzobiorowym. Chęć zastąpienia rozbitcia politycznego wspólną we wszystkich zabrach pracą nad pogłębieniem wiedzy skierowała naukowców polskich na te dotychczas nie zbadane odcinki, które mogły przynieść przypomnienie o dawnej wspólności narodowej, odcinki, które — owo niejednokrotnie na zerwanie narażone poczucie jedności mogły umocnić. Szczególnie troska o czystość języka, o poziom piśmiennictwa wywodziła konieczność podjęcia prac filologicznych zakreślonych szeroko, bo obejmujących z biegiem lat cały obszar językowy słowiański. Budzą się sympatie słowianofilskie, a chęć ich wyrażenia w rozmaity sposób bywa realizowana. Wielu ludzi o szerokim kręgu zainteresowań podejmuje podróże po krajach Słowian, badania starożytności słowiańskich i odkrycia zabytków piśmienniczych nikomu nieznanych. Nasz największy ośrodek naukowy, Kraków, posiadający tradycje jednej z najwyższych stojących uczelni w Europie, po pewnym zastoju na przełomie XVIII i XIX w. urasta z czasem znowu do rozmiarów środowiska skupiającego najwyższe umysły, dającego zarazem

pochlönietego całkowicie historią przeszłości języka, znalazło znowu swego opiekuna. Od r. 1910 profesor nadzwyczajny U.J., Nitsch rozpoczął szereg wykładów o stanie obecnym i dawnym języków słowiańskich. Od początku jego działalności naukowej ujawniła się cecha, która charakteryzować będzie późniejsze prace profesora: dowodzenie i twierdzenia opierają się na bezpośrednim doświadczeniu, a największą część jego uwagi i zaciekania skupia na sobie współczesny obraz badanego języka. Dialektologia, w powijkach jeszcze za czasów Malinowskiego, ziemia nieznaną polskiej nauce, przyciąga myśl profesora rozległością



Profesor Kazimierz Nitsch

swych możliwości, niewyjaśnionymi tajemnicami, czekającymi wytrwałego śmiałka, który po nie sięgnie i ukaże ślady dawnej przeszłości, tak pieczołowicie w języku ludowym przechowywane.

Zaczynają się podróże, wycieczki, przemierzanie polskiej dżungli językowej dosłownie z kąta w kąt, od Śląska po Mazury, od widel Sanu po Kaszuby. Nawiązują się kontakty bezpośrednie z badanymi obiektami, a więc z żywym człowiekiem, który dostarcza tekstów zapisywanych skrętnie, gromadzonych przez lata, tworzących z czasem pełny obraz „mowy ludu polskiego“. Musiały te ścieżki od wsi do wsi szczególnie być profesorowi mile, jeśli pamięć o nich zachował dokładnie i po czterdziestu latach zapytany przez uczniów swego seminarium o szczegóły zjawiska zwanego mazurzeniem przypominał sobie bez trudu nazwy małych, w resztkach Puszczy Sandomierskiej zakopanych wiosek: Wołki Zarezyckiej czy Brzozy Królewskiej, które niegdyś odwiedził. Nawiązała się korespondencja z nauczycielami i ludźmi, którzy nad czystością języka czuwają z zamięwaniem, z byłymi uczniami w całej Polsce. Rosły prace i publikacje układające się w ogólną charakterystykę przekroju gwarowego polszczyzny z dialektem kulturalnym włącznie. „Charakterystyka porównawcza dialektów zachodnio-pruskich“, „Dialekty polskie Prus Wschodnich“, „Dialekty polskie Śląska“, popularna „Mowa ludu polskiego“, „Monografie polskich cech gwarowych“, „Wybór polskich tekstów gwarowych“, opracowany wspólnie z prof. Mieczysławem Maleckim „Atlas lingwistyczny Podkarpacia“ — oto kilka tytułów prac, których liczba urosła dziś do czterystu. A że obecny profesor ograniczenie się do jednego kierunku, że wszystko, co opracowuje, opiera się na podstawach gruntownej znajomości językoznawstwa ogólnego, a zwłaszcza indoeuropejskiego i słowiańskiego, wiec i prace pisane wybiegają daleko poza dialektologię. Interesuje Nitscha sztuka rymowania (świadczą o tym m. in. prace: „Nowa zasada rymowania“ czy „Z

historii polskich rymów“). Reforma ortografii jest impulsem do opracowania nowych zasad pisowni, chęć podzielenia się własnym doświadczeniem pedagogicznym ujawnia się w opracowaniu „Planu nauki języka polskiego w gimnazjach“, pod wpływem zainteresowań literackich i społecznych powstaje praca „Żeromski o języku polskiego ludu pracującego“.

**B**ADANIOM naukowym towarzyszy praca organizacyjna i związane z tym obowiązki redakcyjne. Od r. 1925 jest kierownikiem „Studia słowiańskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego“, ośrodka, który pomimo niechętnego ustosunkowania się władz sanacyjnych stanowił polską szkołę językoznawczą, a dziś posiada kilkanaście katedr. Razem z Łosiem i Rozwadowskim od r. 1908 wydaje „Rocznik Słowistyczny“, uznany od lat trzydziestu za naczelną organ językoznawstwa słowiańskiego. Jest redaktorem „Języka Polskiego“, inicjatorem i współpracownikiem „Ludu Słowiańskiego“. Już po wojnie zasługi jego nagrodzone zostają godnością prezesa PAU. Przy tak licznych obowiązkach nie zaniedbuje jednocześnie pracy profesorskiej, wygłasza odczyty i pogadanki, pisze nowe prace, recenzje, niezliczone drobne przyczynki.

Wojna nie oszczędziła jego powagi naukowej ani wieku. Aresztowany razem z grupą profesorów krakowskich i przewieziony do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu, w przeciwieństwie do wielu swoich młodszych współtowarzyszy niedoli nie poddaje się przemocy przynębiania i bezczynności. Chęć dopomożenia kolegom, pogodna i spokojna gotowość przyjęcia wszystkiego, co znieść trzeba — nawet śmierci, oto cechy charakteru, które ujawniły ciężkie warunki obozowego życia. W tak niesprzyjających okolicznościach nie zaniedbał pracy naukowej, wykorzystując obecność w obozie chłopów polskich, by nowe spostrzeżenia dodać do dawnych opracowań dialektologicznych. Po zwolnieniu z więzienia bierze czynny udział w tajnym nauczaniu uniwersyteckim i organizuje tajne posiedzenia Komisji Językowej PAU. Jeszcze podczas wojny pisze „Studia nad historią polskiego słownictwa“ i kontynuując przygotowanie słownika staropolskiego; właśnie wydano niedawno pierwszy jego zeszyt.

Dokonyując dziś, w pięćdziesięcioletnie nicomal pracy, choćby pobieżnego przeglądu dorobku naukowego profesora Nitscha musimy stwierdzić, że spowodowane przewrotem wojennym zmiany stworzyły szczególnie pomyślną atmosferę do tego, by wyraźniej ujawniona została waga dokonanych prac i uwypukliło się ich znaczenie. Rzeczywistość wojenna, tak różna od lat dwudziestolecia, przywróciła Polsce ziemię od niej oderwaną, dla pokolenia zdżonego w latach międzywojennych będącej „zagranicą“. Ojczystymi nazwać znów noż my prastare ziemię śląską i kraj pruskiego pojezierza. Wobec tych niezwyklej przemian — ci, którzy byli ich świadkami, a w latach czwartej dekadzie pątych i dziesiątym aparacie naukowym posłużył uczonemu do przeprowadzenia doświadczeń na żywym słowie. Słowo to zaś dźwięczało najniekniej wśród prostych ludzi i czekało od lat na przysłuchanie się i zbadanie. Utrwalona została w zapiskach mowa różnych ziem, także i tych które potem wcho dziły w skład Deutsches Reichu. Dziś owe przed kilkudziesięciu laty

zebrane teksty gwarowe świadczą niezbitnie o narodowej przynależności pierwotnych mieszkańców Śląska, Warmii i Mazurów. Z mapy charakterystycznych cech gwarowych aktualnego języka odczytać dziś potrafimy przeszłość historyczną, geograficzną i cywilizacyjną dawnych szczeplów lechickich, a jako jedno z najciekawszych zagadnień wylania się problem pochodzenia polskiego języka literackiego, przez profesora Nitscha po raz pierwszy w sposób naukowy postawiony, a tak szeroką nieustannie budzący dyskusję.

Wielu spośród nas zna tę „postać legendarną, zarazem dobrą i groźną, dobroczynną jako mocey i życzliwy opiekun i badacz języka polskiego, groźną jako budzący pewien strach stróż tego skarbu narodowego“. Tak scharakteryzował Nitscha prof. Jan Rozwadowski. Zastęp wychowanków krakowskiej szkoły Nitscha jest tak liczny, że gdy wojna przerzedziła szeregi pracowników nauki, nie zabrakło nowych sił, by obsadzić nimi opróżnione katedry językoznawcze. Wielu znanych dziś naukowców badania swoje oparło na metodzie wypracowanej przez swego mistrza.

**W** ŚRÓD sylwetek polskich uczonych posać profesora Nitscha szczególną zwraca uwagę. Uczony w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu, z wielkimi zdolnościami i nie przeciętną umysłowością łączy pracowitość nieomal średniowieczną. Nie ma w tym jednak ograniczenia i ciasnoty horyzontów. Przeciwnie — rozległość zainteresowań intelektualnych, literackich, kulturalnych, społecznych, wspierana niesłabnącą wolą, kierując wysiłkiem profesora ku sta lemu uzupełnianiu olbrzymiego zapasu wiedzy, którą tak szczerze i chętnie stara się przekazać swym uczniom. Niewyczerpana energia,

odważne podejmowanie trudu chroni go od groźby zastojów i poprastania na, zadowoleniu z dokonanych osiągnięć. Ow niepokój twórco, który nie jednokrotnie gdzieś inżniej staje się przyczyną powierzchowności, tu, dzięki niepotykanej wprost rzetelności, sumienności, wrodzonemu zmysłowi krytycznemu, każe profesorowi docierać do samych źródeł prawdy. Z troską o niesfałszowany obraz prawdy wypływa pewna ośchłość i oszczędność słowa. Uczciwość każe mu walczyć z wszelką, pod jakąkolwiek postacią się kryjącą błagą, z nieudolnością, głupotą, lenistwem. Nic nie potrafi bardziej wyprowadzić go z równowagi niż dostreżona niesumienność. Nieustannie wymagający od siebie jak najwięcej — od innych żąda wiele. W takim stosunku do bliźnich objawia się jego szacunek dla człowieka, chęć kształtowania tych charakterów, na które swą wielką indywidualnością może wpływać. Surowy pedagog jest jednocześnie najszczerzym przyjacielem i opiekunem młodych. I jak wszelkie studencie, wynajające z zaniedbań potknięcia wywołują ostrą reakcję profesora, tak każda poprawnie wykonana praca oczekiwac może pochwały, choć w oszczędnej wyrażonej formie, tym jednak chyba cenniejszej. Sam mawia o sobie, że „im bardziej człowiek posuwa się w latach, tym lepiej dla niego obcować z młodzieżą“.

To, czego dokonał, wypłynęło ze szczerego umiłowania ojczystego języka, z prawdziwej troski o jego rozwój i najprawdziwszego, choć trzeźwego patriotyzmu. W służbę Ojczyzny oddał całe swoje życie, zadanie swe pełnił wiernie ku jej chwale, niosąc sławę polskiej nauce na cały świat. W uznaniu tych zasług Polska Ludowa udzieliła mu dziś najwyższej pochwały, przyznając mu nagrodę państwową I stopnia.

Józef SZCZAWIŃSKI

## PRZEKAZY FESTIWALOWE

### Walczącym

Świat jest bliski jak ucisk,  
Prawda cenna jak przyjaźń.  
Radość was nie opuści,  
I ból was nie ominie.

Trwacie w wierszu, w piosence,  
Czas nie zwiędnie wam w piersi.  
Wierne są wasze ręce,  
Wasze serca jak sierpień.

Świat jest bliski jak ucisk,  
Wolność wspólna jak zielenie.  
Miłość was nie opuści.  
Dojdziecie, Przyjaciele.

### Rumunczkom z krakowskiej ASP

Ptaki, w przyjaznym kraju  
tak jak u siebie śpiewają.  
Dziewczeta kolorowe —  
uśmiechem, sukienką, mową.  
Mą przyjaźń odnajdziecie  
w swym kraju, na palecie  
szumiącej barwną falą  
w przypływie co młodość ocala.

### Przywieźcie nam koledzy

Przywieźcie nam koledzy  
u źródeł dni pogodnych  
zacerpnięty łk piękna,  
śląd świata, liść urody

Z igrzysk zielonojasnych  
przywieźcie pieśń szeroką.  
W człowieka ufność większą  
i twardszą wiarę w Pokój.

Andrzej KRZYŻANOWSKI

## O S T A T N I P O C I A Ğ

GDY świst lokomotywy rozdarł powietrze, Brzeźek rozprostował grzbiet zgięty nad grzędą fasoli — którą okopywał, aby mocniej się ukorzeniła — i z motyką w ręku powlókł się w stronę parkanu, skąd jak na dłoni widać było tor kolejowy.

Rozpięty na podkładach podbitych ostrym żwirnym waz — od lasu wędzającego szczyt wzniesienia — sphywał po zboczach pobłyskującymi srebrzyście splotami. Wił się dnem doliny, mijając semafor i przejazd ze szlabanem, w białoczerwone pasy, aby skryć się wkrótce wśród budynków stacyjnych, krytych czerwona, paloną dachówką i pomalowanych na kremowo.

Przystanąwszy u płota, Brzeźek wypatrywał za wynurzającym się już zza ścian lasu pociągami. Z tej odległości i parowóz i wagony miały wygląd dziecięcej zabawki. Raz po raz w oknach małych wagoników zapalały się iskry słonecznego blasku i gasły w miarę jak pędzący pociąg chował się w jarze wykopy. Wychnął stamtąd znacznie większy: rósł w oczach. Im był bliżej Brzeźkowego punktu obserwacyjnego, tym pęd jego — zdawało się — wzrastał. Stukot kół wzmógł się do najwyższego tonu — i zaraz poczęł cichnąć. Jeszcze jeden gwizd przed sygnałem i ostatnie wagony przepadły pomiędzy nastawni i rampami, wlokąc za sobą — jak dymną zasłonę — tłum kurzu.

Przez ileż to lat Brzeźek przeprowadzał tak każdy przelatujący tą linią pociąg?... Czekał zwykle chwilę, aż po krótkim postoju przybysz z daleka ruszał z peronu w dalszą podróż. Nie było go, widząc spoza budynków, lecz odgłos gwałtownego sapania parowozu i pionowy słup skąbiętego dymu i pary wzbijający się nad stacją mówił staremu kolejarzowi wszystko, wywoływał obraz tego, co — chociaż zakryte dla Brzeźkowych oczu — działo się na dworcu:

Przechadzający się po peronie dyżurny ruchu wznosił w górę czerwoną chorągiewkę. Spieszyli ostatni podróżni. Trzaskaly zamykane drzwi — odjazd! Stałowy potwór nabierał w płuca oddechu, wydychał go gwałtownie, prychając i sapiąc, zapierał się kołami o szyny, wyrwał z bezruchu cały skład... i już się toczył. Zrazu wolno, potem prędzej — nabierał rozpędu — coraz prędzej, prędzej...

Brzeźek nie liczył lat. Upływanie czasu znaczyła w jego pamięci coraz to wzrastająca — odczuwana lecz nieogarniona — ilość przychodzących i odchodzących pociągów, których także nie liczył. Po kiego licha? Nie był ciekaw, czy przebiegło ich więcej teraz, w tym drugim etapie ziemskiej wędrówki, czy „za życia“, jak określał owe lata, kiedy to jeszcze sam pełnił służbę dyżurnego ruchu, sam podnosił w górę chorągiewkę, wytrzymywał ją w wyciągniętej dłoni przez dłuższą chwilę, dopóki pociąg nie ruszył z podjazdu. Robił wówczas w tył zwrot i uderzając się po udzie chorągiewką szybkim krokiem spieszzył do dyżurki... Tak to bywało!

Od tamtego świtu, zamkniętego jak jego umysł ciężką mgłą, siąpiącego dokuczliwym kapusnaczkami i przejmującego do szpiku chłodem — wszytko stało się jakies mało ważne, mało warte. Czuli się jak gdyby w sytuacji stojącego po środku rzeki. Nurt opływał go, mijal... Czasem wymyślał piasek spod stóp i zagrapał zaniepokojenie na ni ślad ni zowad pojawiającej się głębi, przecież nie było między człowiekiem i żywiołem nijażnego związku ani też zależności. Domek na kolejarskich Działkach, spory szmat ogrodu warzywnego i sad, w którym — mało gdzie się wy-

dalając — spędził oto kawał żywota, żona, dzieci — cóż go to właściwie mogło obchodzić? Grzebał się w ziemi, ażeby zapełnić pustkę dni, dziwną czczość ducha. Aby nie musieć grzebać się we własnym wnętrzu, gdzie tak trudno było o rozpoznanie dróg, nie było rozkładu jazdy z jego wyraźnie oznaczonymi i raz na zawsze ustalonymi godzinami, kierunkami, połączeniami. To coś, czego poruszenia ledwie sobie umiał uświadomić, żyło w jego sercu, ale nie było uchwytnie na jego sposób i rozumienie, nie dawało się ująć w schemat wielkich tablic wypełnionych po brzegi cyframi...

Żona! Jakże się to stało, że zerwały się nici wspólnego zrozumienia? I te dzieci, ta nieudana piątka! Rodzina, jej sprawy, nawet wtedy, kiedy tymi rzeczami się interesował, był to właściwie drugi nurt. Pierwszym mogły być tylko pociągi. Przyjeżdżające i odjeżdżające o takiej i takiej godzinie z minutami. Zapewne, podróżni musieli także mieć jakieś dzieci, żony, mieszkania, jak on — domki z ogródkami, może jakieś tam nie ważne troski. Ale w tym ich świecie koleje losu układały się — dąbły głowę — inaczej: prościej, lepiej, szczęśliwiej. Na pewno nikt z nieznanym podróżnym nie tonął w takim dziwnym niezyciu, jakie chwyciło w swoje rwące wiry jego, Brzeźka — byłego dyżurnego ruchu. Aż zatonął w grzęzawisku bez dna, bez kresu i bez nadziei na wyzwajający sygnał.

ŻONA? Był taki czas, że za młodu przemierzając kraj jako „osobowit“ konduktor przywiózł gdzieś tam spotkaną dziewczynę. Znęciła go świeżością bujnie rozkwitającej młodości. Ją wabiło życie w innym otoczeniu. Początkowe lata pożycia układały się pomyślnie. Przeniesiona z zapadłej wsi w ruchliwe środowisko kolejarskie, pomiędzy ludzi, którzy niejedno słyszeli i widzieli, rychło przyjęła się na nowym gruncie. Mąż umiał opowiadać o swoich podróżach, pomagał młodej żonie w wydzwignięciu się na wyższy poziom. Nauczył swoją Agnieszkę interesować się książkami, czytać... Gdy przychodziły zaczęły na świat dzieci, troska około malców wzięta obydwójce coraz silniej, aż przyszło to. Po tym wypadku coś musiało się zerwać w sercu Kazimierza. Na ścieżce, po której po stępowali dotąd w trudzie i mozole wprawdzie, wszakże zgodnie — wyrastać poczęła niepostrzeżenie nieprzebyte już później mur. Brzeźek stał się zamknięty w sobie. Serce jego i usta otwierały się teraz rzadko, coraz to rzadziej. Najczęściej milczał, w chejściu nabrał szorstkości. Nie umiał już ani dobra, ani zła dzielić między dwoje. Przeżywał wszystko sam ze sobą; do rodziny, do ludzi dochodziły tylko echa tych burz, które przewalały się musiały w jego wnętrzu, elektryzowały go, że wybuchał za lada przyczyna. Sprzeczki przybierały na gwałtowności. Miał pretensje do Agnieszki, że odpychana i zdana na jego milczące i ponure towarzystwo szukała namiastki obcowania z kochanym człowiekiem w rozmowach z sąsiadkami. Głupia! Albo i one, co tam wiedzą! Zazdrościł tym obcym, którzy dzień po dniu zbywali utraczone przez niego samego zaufanie żony.

Nie było mu się chyba żenić. Rodzinę odczuwał obcnie — z małymi odchyleniami od tego stanu — jako ciężar zbyt ciężki, a w każdym razie krępujący swobodę nierealnych marzeń o dalekich podróżach. Koleja o, oczywiście. Kytym pracy na dworcu, rozkłady jazdy, przyjmowanie i odprawianie pociągów, uczestniczenie czynne w niezawodnym funkcjonowaniu kolejowego mechanizmu — tu

czuły się na swoim miejscu. Nie bez zamilowania w tamtych latach poświęcał pracy znacznie więcej czasu i uczucia aniżeli jego koledzy. Cieszył się też wśród nich i przelotnych jak najlepszą opinią: pracownika obowiązkowego i sumiennego.

Pomiędzy ludźmi jeszcze i teraz po trafił zdobyć się na uśmiech, wyjść na przeciw chęciom obcym. Lubił zabawić się i w męskim towarzystwie nieco podchmielić. Sam sobie wydawał się podczas tych nieczystych okazji innym człowiekiem, dawał upust wymowie. Tłamszone i ukrywane przed światem przeżycia wywalały się z oków, siłą, nie bacząc na ostrze gawcze sygnały mózgu nawykłego do warowania i strzeżenia — jak ten pies — tajemnicy człowieka, pod którego czaszką roilo się od szaleńczych myśli. Niechby jednak któryś z towarzyszy wspomniął w podobnej chwili o domu Brzeźka i napomknął o konieczności odmiany stosunku do żony i dzieci! Nestrój przyskał natychmiast. Kazimierz wstydział się zapiekłej rany, lecz nie miał siły, aby zawrócić na dawną drogę. Nie chciał tych spraw z nikim wałkować, rozstrząsać, nie pozwolił też wtrącać się byle komu do nieswoich rzeczy. Zabawa kończyła się jak nożem uciął. Coś tam jeszcze mruknął półgębkiem, dla niepoznaki, brał czapkę i wychodził.

— Pora już, trzeba mi na swoje śmiecie...

Zadne perswazje nie mogły powstrzymać jego odwrotu. Szedł, aby bez świadków przeżuwać ciągle od nowa swe nieudane życie, próbować odnaleźć radość z widoku podrastających dzieci, a jednocześnie niekłać serce stwierdzeniem, że to wszystko nie należy już do niego, rozbite, zwaśnione, nie do ludzi.

Bo chociaż dzieciśka pojętne były w szkole, przecież miały oczy otwarte i na dom również zwrócone. Rychło wymiarkowały, jaki jest stosunek ojca do matki.

Potrącił na przykład przyjąć do domu przy jakiejś tam „okazji“ z koleżankami, z wódką i od proga grubiańskiego wołać o zakąskę, którą żona wnet gościom szykowała. Ceremoniał powitania z żoną odbywał się w słowach, jakich nie zapomina się nigdy.

— Patrzcie, to bydlę — to moja żona!

Dzieci — jak czuły telegraf stacyjny wystukujący na taśmie papierowej kropki, kreski — notowały w pamięci słowa ojca. Bały się go jak ognia, gdy miotał się po mieszkaniu z namarszczonymi gniewnie brwiami i potraçał sprzęty — schodziły mu z drogi. Najłatwiej zaś zniknąć z pola widzenia ojca było wylecieć na drogę i wisusować bez dozoru. Matka mogła do woli wołać, błagać, grozić gniewem ojca. Prędko za nie miały jej słowa.

Jak to się stało, że ten amator-ogrodnik troskliwie wycinający dziczki, wilece pędy wyrosłe od korzenia przy młodych drzewkach, własne dzieci chował na dziczki nieprzydatne ani sobie, ani społeczeństwu? We własnym ogrodzie strach było co ruszyć, gdyż ojciec karał surowo. Wołały więc Brzeźczęta ryzykować mniej i próbowały szczęścia w sadach sąsiedzkich. Nie było tak wysokiego płotu, żeby go nie potrafiły przeleźć, nie było tak czujnego sąsiada, aby go nie zwiody iście lisim sprytem i nie przetrzebiły w jego sadzie najładniejszego owocu. Napomnienia matki nie mogły tu nie zdziałać — nie liczyła się w domu, jej głos znaczył mniej niż krzektanie sroki na płocie, ojciec dawno zniszczył autorytet macierzyński. Skargi sąsiedzkie Agnieszka starała się zatać w tajemnicy przed mężem: plakała lub wymyślała, gdy ktoś jej

wymyślał, wybrki dzieci tłumaczyła głupotą, nierozumą dziecięcą, która nie może ponosić kary.

— Co chcecie, przecież to dzieci jeszcze. Gdzieżby one tam ze złości albo złodziejstwa. Brewerie i tyle — łagodźcie sprawę.

Lecz Brzeźek, jeśli zdarzyło się, że jakaś sprawka młodych latorośli oparła się o niego, wpadał w straszny gniew.

— Złodziejami chcecie być!? Ja wam to wybije z głowy, łobuzy jedne! Bodaj was drobne wszy zjadły! — pieklił się i brał do bezpamiętliwego tatarowania skóry, sadząc, że jedynym i najlepszym sposobem na wpojenie młodzieży zasad uczciwości jest spranie tyłka pasem. Egzekucja odbywała się systemem masowym. Lanie dostawały wszystkie dzieci po kolei — wedle starszeństwa. Miał ten system, tę jedną dobrą stronę, że najmłodszemu, który był bity ostatni, dostawało się najmniej razy, gdyż ramię ojca upadało już ze zmęczenia. Machał pasem na oślep, na koniec zamykał bractwo w domu na klucz, sam zaś wychodził do ogrodu, aby ochłonić.

Stygł z gniewu prędko. I wtedy zaczynały się udreki. Po co katował dzieci? W jakim celu? Czyż w ten sposób nauczył je czegoś? — Wątpliwości opadały go rojem w miarę, jak ustępował gniew paraliżujący przedtem zdolność myślenia i miarkowania czynów. W takich to najczęściej okolicznościach wracała Brzeźkowi pamięć wypadku. Gdyby nie tamto, inne byłoby jego życie — rozpamiętywał — nie zeszedłbym na manowce, na których coraz to gorzej, bardziej nieswojo. Tę katastrofę winił o powikłanie ścieżek jego rodzinnego życia, jej przypisywał najście wszystkiego zła.

WYSTARCZYŁO przymknąć oczy, aby wydarzenia owego świtu przeszedł w myśli w całej ich groźbie. Do tej pory Brzeźek nie mógł pojąć, jak się to stało. Pamiętał tylko, że przed nocną służbą tamtego fatalnego dnia przemówił się o coś z żoną, powiedział parę słów, których nie mógł odzłować. W dyżurce czuł się jakoś nienadzwyczajnie, mimo to z nawyku działał bez zarzutu. Telegraf tyktał nerwowo, dzwoniły telefony, bez opóźnienia przybywały i odchodziły pociągi. Wszystko, zdawało się, szło jak najnormalniejszym torem. Aż o 3<sup>00</sup> coś się populo w tej bezbłędnie działającej maszynierii.

Dalekobieżny osobowy z wagonami sypialnymi stał na drugim torze — miał trzy minuty postoju, brał wodę. Ze słuchawki telefonu zabrzęczał głos dyżurnego sąsiedniej stacji:

— Jak tam tranzyt? Doleciał?

— Co, tranzyt? Ach tak... tak dochodzi — poczęł się płać Brzeźek. Położył słuchawkę. Nacisnął dźwignię — otworzył sygnał wjazdowy dla towarowego, który miał przelecieć tranzytem. Połączył się telefonicznie z budką zwrotniczą:

— Halo!... Halo!...

Odpowiedziała cisza. Prawda, zwrotnicy przyszedł na służbę po weselu krewniaka. Zalatowało od niego wódkę, lecz trzymał się mocno na nogach. Kiedy indziej Brzeźek odesłałby go do domu i postawił na posterunku kogo innego. Dziś nasobaczył tylko zwrotniczemu i kazał iść do budki.

— I masz! Teraz bydlę pewnie śpi! — zaklął. Nie ma rady i czasu do stracenia, trzeba samemu iść na zwrotnicę. Tranzyt leci z góry, musi dochodzić już do semaforu — Brzeźek miał znakomite wyczucie czasu i przestrzeni. — Zdaże. Przepuszczę towarowy trzecim torem.

Nacisnąwszy mocniej czapkę biegł przez tory ku zwrotnicom. (Nie było jeszcze wtedy nastawni i nowo-

czesnego sterowania zwrotnicami). Światła lokomotywy tranzytu macały po szynach, wachały drogę żelazną jak gończe psy. Jakże, musieli mieć się na ostrożności: noc pełna mgły. Przeciągly, świdyjący uszy gwizd i ładowny pociąg walił na rozjazdy. Brzeźek chwycił dźwignię zwrotnicy, przełożył. Odcinek szyn lekko przesunął się po wysmarowanych podkładkach. Wściekle dudniły koła: tuż, tuż, tuż... Cholera! Zwarjowałem, czy co!? Przecież na drugim stoi osobowy! Rany Boskie! Nogi ugięły się pod dyżurnym. Parowóz wchodził na drugi tor niepoohamowanym pędem. Myśl Brzeźka chciała być szybsza. Nie mógł już uratować towarowego, lecz przecież podróźni dalekobieżnego mogli spać spokojnie. Nachylił się nad zwrotnicą i wysiłkiem całego ciała przepchnął ją z powrotem: tender parowozu wszedł na tor trzeci.

Maszynista tranzytu pociął, że jakaś nadludzka siła chwyciła jego maszynę od tyłu i spycha ją ze stałowego, bezpiecznego szlaku. Nie wiedząc, co czyni, dał kontraparę, wrzasnął na palacza i wyskoczył w mgłę. Palacz rzucił się na drugą stronę. Było jednak za późno. Parowóz i tender skrócone pod kątem waliły się z szyn na siebie. Palacz wpadł w zwierające się kleszcze budki parowozu i żelastwa węglarki. Łoskot, przeraźliwy syk pary, trzask wagonów, które pęd wciśkał jedne w drugie i łupał na drzazgi jakby to były pudelka zapalek, zmieszaly się z nikłym — w porównaniu z tą diabelską muzyką — lecz przejmującym do szpiku i podnoszącym włosy na głowie skowytom człowieka smaganego wrzącymi strumieniami pary i miazdżonego wpośród stosów pogiętego żelastwa.

Brzeźek osupiał działając automatycznie. Z budki zwrotniczej wywołał stację i polecił zawiadomić władze, sam zaś trwał na miejscu wypadku do czasu, gdy najechał pociąg ratowniczy. Naczelnikowi z dyrekcyj, który wkrótce przyjechał motorową drezyną i objął kierownictwo nad drużyną ratowniczą, powiedział:

— Zrobicie ze mną potem, co zechcecie. Ja nie ucieknę. Ale nie pytajcie mnie teraz o nic! Tego — wskazał palcem na palacza — do jasnej cholery, ratujcie! Na mnie przyjdzie pora! Niech on nie skuczy, jak ten pies! — wrzeszczał jakimś niesamowitym głosem.

Palacz z rozprutym brzuchem, z którego wywalały się wnętrzności, jeżkał nieudwala, skamlał, zebrał ratunku i błagał o wodę; paliło go widocznie pragnienie. Ciągłe był przytomny i wytrwał tak do południa, klnąc i modląc się na przemian. Jednakże nic mu nie można było pomóc. Zamknięty w stosach żelastwa zwiok człowieczy musiał czekać, aż cało po calu poprzecinano blachy zagradzające doń drogę. Kiedy wreszcie drużyna ratownicza dotarła do niego, napojony wodą zemdlął, zwiś jak szmata. Zmarł, ledwo wyciągnięto go z rumowiska.

Brzeźek patrzył drżąc z zimna i wyčerpania. Podniósł rękę, aby się przeżegnać, zdjął czapkę. Czerwona czapka dyżurnego, którą ciągle się ociekała krwią, wydała mu się ociekającą krwią. Cisnął ją ze wstrętem na ziemię. Lecz zaraz schylił się, podniósł czapkę, otarł z pyłu rękawem i podszedł z odkrytą głową do naczelnika. Wzrok miał błędny. Naczelnik popatrzył nań uważnie:

— Co pan!?

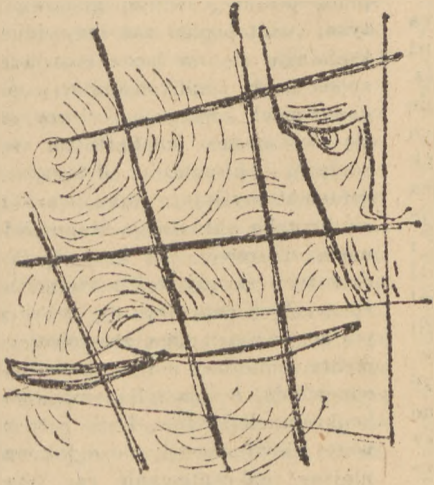
— Nnnych pan weźmie — wargi latały Brzeźkowi, żeby dzwoniły jak w gorące — mnie ona nie przysługuje. Ja... odprawiłem ostatni pociąg... Aresztujcie mnie! — wrzasnął nagle. — Aresztujcie!...

(Dokończenie na str. 6)

Zdzisław ŁĄCZKOWSKI

# Słoneczniki gorejące

(Fragment opowieści o Vincencie van Goghu)



I

Rozpalone słońce  
kapało przez życie  
na wzorzyste pagórki  
zawieszono wypętlonym sznurkiem  
wzdłuż cukrowych  
winnic.  
Wśród słoneczników  
ogromnych  
domki małe  
niemo stały  
jak chłopskie saboty.  
W dolinach gaśły  
zielonymi zdrojami  
krzewy karłowate  
odarte  
z liści.

Zachodzi czoło wysokie  
za dłoń porętą  
przez noc.  
U znużonych okien  
potworne larwy  
migocą.  
Ukryte  
głęboko  
oczy  
chciwie piją  
spieczoną barwę  
ziemi.

Vincent zaczarowanym krokiem  
po pokoju krąży.  
Przegląda się w lustrze  
psisko kudłate.  
Powietrze gorzkie  
kształtem piersi  
Racheli.  
Na dworze ciemno  
tylko błyszczą  
cienko  
sine ostrze  
brzytwy.



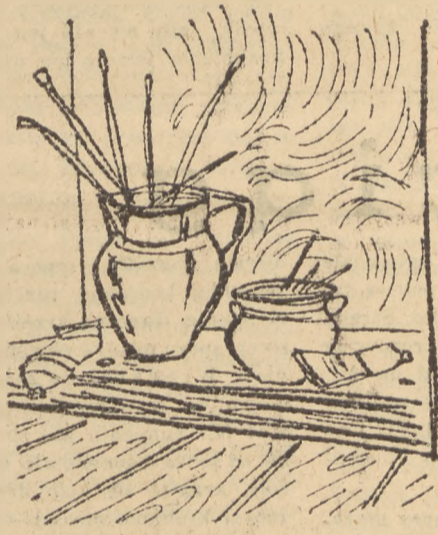
II

Fęka  
trawa soczyście  
i pnie się w górę wino dzikie  
dzwoniąc tajemniczo

po dębowych sękach  
ukrytych u błyszczących  
brokatem okien.

Brzask  
mury Zakładu St. Paul  
gałązką bluszczo  
nikłą  
jak smyczek  
wita.  
W długich korytarzach  
o błękitnych kandelabrach  
zakonnice  
w habitach  
szczęśliwych spokojnie  
jak liście  
szeptały żarliwie  
litanie  
całując różańce z kości  
słoniowej  
od pocałunków płowe.

Od Thea  
nie było listu?..  
Chory poprosił o wodę  
Obłęd mijał.  
Ciepła ręka  
naczynie szorstkie  
ostrożnie ku ustom  
przechyliła.



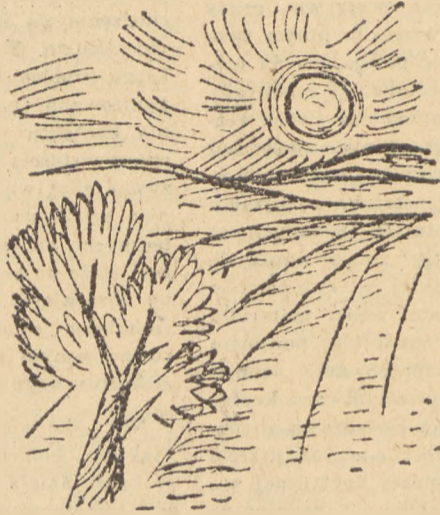
— Wkrótce zaśnie  
doktorze..  
czy pan oglądał jego obrazy?  
— Wariaci mają fantazje...

III

Gorzała ziemia  
pośpiesznie przechodząc  
w cień wysokich jeżyn  
pod którymi jaszczurki modre  
w gniazdkach z białego krzemienia  
zasypiały  
niezmiernie spragnione i głodne..  
zielonego blasku.  
Na kamiennym progu  
stały rzędem  
w wilgotnej celi  
garnki zbryzgane ultramarzyną  
i brązem.  
Na poręczy łóżka  
iskrzył się słowik  
jak pozłacany krążek.  
Chleb ma odleń dojrzałego głogu  
i posmak farby.  
Zupa w ustach się klei.  
Po szybach ciężko człapią  
oługie  
noce  
kładąc  
na sztalugi  
krople gorącego potu.  
W oknie jak w malachitowym lustrze  
twarz bezsenna migocze.

IV

Przezedł bramy Zakładu  
van Gogh.  
Za miastem  
w żółtych ogrodach  
błądziły palce po pstrokatym  
płótnie.



Pagórki zbóż wełniaste  
kładły się w pokłosie złotym.  
Jak frygijskie lutnie  
brzęczały osy.  
„Wyrwać barwę drzewom —  
uchwycić wiatru kształt...“  
Dłoni cierpiących  
szukała twarz  
behradnie.  
Czoło broczy  
czerwień i kobalt.  
„Słońcu należy patrzeć  
prosto w oczy!  
To nie, że obrazów  
nikt nie kupuje.  
Ręka słabnie.  
Połatanie  
spodnie.  
Iść dalej!  
Dalej do tych głazów  
urwistych, gdzie węże czarne  
strzegą gałązki barwinku małej“.

V

Dzwoniły pola  
ponad którymi  
rozcigała się sieć świetlista  
pełna rozżarzonych sopli —  
tonami  
granatu.  
Pod lilijowymi  
cyprysami  
oczekiwały upragnionego wieczoru  
kwiaty  
o brunatnej czerwieni.



Pędzel zlewał niespodziewanie  
barwy jak czarodziej  
niezwykły a wielki.  
Ręka utajony płomień  
wodził

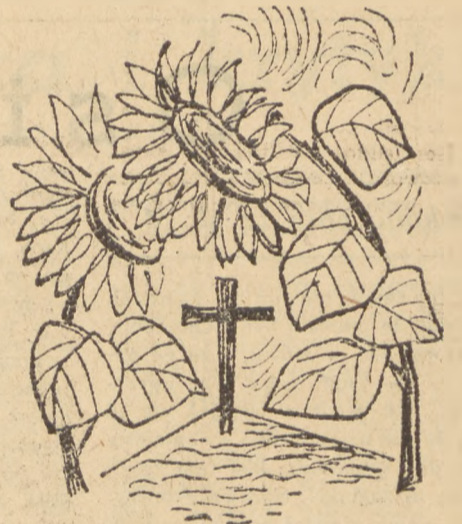
rzucając śmiałe linie.  
Po pomarańczowej drodze  
stąpił zgarbiony człowiek  
podnosi  
dłonie.

Dziewczyną słoneczna jak uśmiech  
przebiega  
niebieskie mosty —  
na wietrze śpiewa.  
Ziemia płonie.  
Wieżniacy bez twarzy  
krzyczą w chaosie  
farb.  
Wiruje powietrze.

Siostró!  
Malarza znowu znaleziono  
pod bramą.

VI

Ręce dosięgły kresu.  
Jaskółczym porankiem  
przyjaciół szczęściu  
pchniło wartę  
wokół zielonego katafalku.  
Z kawiarni artystów i nędzarzy  
petrej od Vincenta obrazów  
wyniesiono sosnową trumnę  
w ciepłe i smutne uliczki  
po których dachy kryte słomą  
z chałup wyrastały olbrzymie  
jak złoczone szyszki.



A farby  
ciągle jeszcze żywe.  
Wśród  
blasku drzew  
i powietrznej barwy  
ostatnie płamy. Zastygły ruch.  
Cynober z blaszanego kagauka  
rozlał się po posadzce  
zimny jak lód.

Już w ciszy drzemiącej  
na rozstajnych drogach  
drewniane krzyże wskazują  
ementarną bramę.  
O czarne deski lekko  
potknęło się  
słońce.  
U stóp Chrystusa  
samotnie przykleknął  
promieni grający..  
i w sadach soczystych  
jak śliwy  
zapłonęły  
ogniściej  
słoneczniki gorejące.

Komentarz

Gdy skończyłem pisać tę opowieść o Vincencie van Goghu, zrozumiałem, że można zakochać się w słońcu i słonecznikach.

Zdzisław Łączkowski

Sosnowka — Ściegny 1953.

Stefan LICHANŃSKI

## LITERATURA I KRYTYKA (II)

VI

KIEDY poprzednio (w rozdziale trzecim) rozważaliśmy zakres i przedmiot pracy krytyki „właściwej”, stwierdziliśmy, że krytyka ta obejmuje swymi zainteresowaniami krąg szerszy niż krąg zagadnień ściśle literackich. Dopiero jednak dokładniejsza analiza samego zjawiska krytyki, bliższe zbadanie jej rozmaitych form pozwala nam na bardziej precyzyjne ujęcie kwestii stosunku: krytyka — literatura. Okazuje się, że — patrząc na rzeczy od strony praktycznej — na wszelkich szczeblach działalności pisarskiej krytyka i twórczość ściśle są zespolone ze sobą, ujmując zaś zagadnienie od strony ich funkcji względem powstającego dzieła — krytyka jest konkretyzującą się w realnych aktach wyboru i wartościowania świadomością kulturową pisarza.

Przechodząc od tej „krytyki w warsztacie” do „krytyki właściwej” możemy tę drugą określić jako taki typ twórczości literackiej, którego materiał zarówno fabularny jak i zagadnieniowy stanowią będą fakty oraz problemy literackie oglądane w perspektywie ich funkcji kulturowej.

Ta więc okoliczność, że utwory krytyckie mają barczą część to za swój przedmiot gotowe utwory literackie, nieczego w gruncie rzeczy o charakterze krytyki nie przesądza. Ilościową przewagę prac typu recenzyjnego tłumaczy się dwiema okolicznościami. Po pierwsze: te właśnie formy pisania narzucają kry-

tykowi względy użytkowo-życiowe. Recenzji życzą sobie wydawcy, redaktorzy czasopism, autorowie i czytelnicy. Często jednak krytyk spleta formę sprawozdawczą recenzji z formą pogłębionego eseju krytycznego, wybiera za przedmiot swych rozważań gotowe dzieło, choć nie zmusza ją go do tego żadne względy uboczne. Decyduje w tym wypadku wyższość dzieła jako tworzywa pracy krytyckiej nad wszelkim innym tworzywem, wyższość polegająca na różnicy stopnia organizacji materiału. Krytyk biorąc przedmiot swych rozważań, np. zagadnienia społecznej przydatności pewnych form wypowiedzi literackiej, potrzebę poruszania przez literaturę takich czy innych problemów, kwestię załamania się koncepcji autorskiej w świadomości czytelnika itp., stoi wobec materiału surowego, który musi ulec pewnemu wstępnemu przepracowaniu, zanim stanie się tworzywem utworu krytyckiego. Inaczej ma się sprawa z gotowym dziełem. Jest ono już przecież owocem pewnej pracy krytycznej autora. Materiał faktów i zagadnień został już posegregowany i przetransponowany artystycznie. Dzieło jest nie bezkształtną masą surowca, ale swego rodzaju „półfabrykatem” — i to nawet wtedy, gdy krytyk musi odrzucić metody owej segregacji i transformacji, jako jego zdaniem nie właściwe, i przez dekompozycję analityczną utworu dążyć do konfrontacji koncepcji autora z rzeczywistością pozaliteracką. I wtedy za-

## Ciąg dalszy z poprzedniego numeru

sadnicza rozprawa toczy się o zrealizowane już pomysły pisarskie, o problemy w lepszy czy gorszy sposób, ale przecież jakoś tam artystycznie przetransformowane i zorganizowane.

Słowem: pisząc o gotowych książkach krytyk od razu zaczyna pracę na wyższym piętrze, co jest dla niego sympatyczniejsze i ekonomiczniejsze. Kryje się jednak w takim podchodzeniu do sprawy pewne niebezpieczeństwo. Stałe zamykanie się w kręgu problematyki już literacko zorganizowanej prowadzi do rozluźnienia kontaktu z realnie dziejącą się rzeczywistością kultury, każe przywiązywać zbyt wielką wagę do zagadnień ściśle warsztatowych i w ostatecznych konsekwencjach doprowadzić może do estetyzującej chińszczyzny obracającej się wokół szczegółów technicznej cyfelnicy utworu przy równoczesnym zatraceniu świadomości kulturowego aspektu tych spraw.

Nie tylko więc względy praktyczne (jak np. konieczność sformułowania w toku jakiejś dyskusji swoich założeń teoretycznych), ale świadomość za wodowa krytyka ostrzega go przed przywiązywaniem zbyt wielkiej wagi do swoich rozwiązań i osiągnięć zrealizowanych na terenie badania poszczególnego dzieła, poszczególnego autora. Świadomość ta nakazuje mu również umieszczać każde rozwiązanie przedmiotu badania w szerszym układzie odniesienia, widzieć w nim przejaw, jednorazową konkretyzację żywego procesu twórczości.

VII

PUNKTEM wyjścia dla krytyka nie jest jego ściśle prywatne od czuwanie „słuszności” lub „niesłuszności” pewnych stanowisk, jego „dobry smak” ani żadna inna forma jednostkowego „widzi mi się”. Krytyk jest reprezentantem określonego ideału kultury i bojownikiem o realizację tego ideału. To nadaje ważność i godność jego pracy, a nie indywidualne uzdolnienia, anarchiczna „oryginalność” doraźnie tworzonych koncepcji czy też umiejętność pisania tzw. pięknym stylem. Ideał ten może być fałszywy, utopijny, niedorzeczny, może być nieskładnym zbiorem podchwyconych stąd i zowąd ideałów, fragmentów lub nągławką rozmaitych niezharmonizowanych w jednolitą całość poglądów, przekonań i urojeń. On jednak decyduje o kulturowo-społecznej doniosłości pracy krytyka, on bowiem wyznacza kierunek i rodzaj jej oddziaływania na kształtowanie się świadomości kulturowej pisarzy i czytelników. Indywidualne właściwości tzw. talentu mogą oddziaływać to wzmacniać lub osłabiać, ale merytoryczny jest one elementem wtórnym.

Ideał tego rodzaju posiada wartość ponadindywidualną nie tylko z tego względu, że jest pewnym postulatem wysuniętym pod adresem społeczeństwa, propozycją lub prowokacją, ale również dlatego, że jest wytworem tegoż społeczeństwa i to nawet wtedy, gdy wyraża jego potrzeby i pragnienia jeszcze nie uświadomione

dokładnie, jeszcze bezimiennie, gdy jest ideałem prekursorskim. Ideał ten bowiem — jak to już mówiliśmy poprzednio — wyznaczony jest zawsze przez postawę światopoglądową krytyka, światopogląd zaś indywidualny kształtuje się na bazie doświadczeń społecznych. Implikowana więc przez dany ideał koncepcja kultury staje się w swoich konkretnych realizacjach — niezależnie od tego, co na ten temat myśli jej twórca — praktyczną krytyką aktualnego stanu świadomości zbiorowej. Czy krytyka ta będzie twórcza czy też niszczylińska, sprzyjająca rozwojowi czy też wrocząca piętą w organizm zbiorowości elementów zastój i marazmu — na to odpowiadać można tylko stojąc wobec konkretnych faktów. I nie o to nam w tej chwili chodzi, ale o jak najsilniejsze zaakcentowanie raz jeszcze, że krytyka literacka wchodzi w zakres krytyki kultury, że jest działem pracy literackiej, łączącym bezpośrednio strefę literatury z ogólnym nurtem życia kulturalnego.

Jasne staje się teraz, że kwestia bezpośredniego oddziaływania krytyki na pisarza nie jest bynajmniej kwestią pierwszorzędnej wagi. Informowanie, objaśnianie, ocenianie — w działaniu krytyki na pewno nie pozbawiony bezpośredniej użyteczności, ale z perspektywy głównych zadań krytyki przedstawiający sferę działań doraźnych, ściśle praktycznych.

Autorem bywają szczególnie czuli na ostateczny wynik recenzji: na ocenę. Podobnie też mniej wyrobieni i nie przywykli do samodzielnego myślenia czytelnicy. Każdy, kto z pracą krytyką zetknął się bezpośrednio, wie, że oceny te bywają często to jakimś komplementem „na odezwanie”, to znów konstrukcyjnym zakręglaniem eseju lub zgola „odwaleniem” zamówienia redakcji, demagogującą się „jasnych” i „wyraźnie sformulowanych” decyzji krytyka. Najważniejsza jest jednak to, co znajduje się przed ową oceną, czyli sama analiza dzieła. W niej bowiem odbywa się konfrontacja dwu ideałów, dwu postaw światopoglądowych, dwu odmiennych sposobów widzenia rzeczywistości. Zarówno ostateczna ocena, jak i do dawane przez niektórych krytyków bezpośrednie rady niewiele uczą pisarza. Dużo natomiast może mu przynieść obserwowanie i analiza *metody* pracy krytyka. Tą drogą bowiem orientuje się on w charakterze reakcji krytyka na jego dzieło oraz podchwytuje pewne sekrety warsztatu, które mogą mu się przydać w jego krytyckiej obróbce własnego utworu.

Ala to dopiero zewnętrzna, najbardziej powierzchowna warstwa zagadnienia. Esej krytyczny nie jest tylko omówieniem takiej czy innej pozycji wydawniczej, ale jest nowym faktem literackim, ustawiającym będące jego materiałem treściowe fakty i zagadnienia literackie w perspektywie problematyki kulturowej. Od tej strony śledzić pracę krytyka pisarz korzystać może z niej w sposób daleko bardziej zasobny: 1) poszerzając swą wiedzę krytyczną połączoną z własną „krytyką w warsztacie”, wzbogacając i komponując jej założenia kulturowe, 2) wzorując na sobie zainteresowanie strefą życia kultury jako rezerwuarem materiałów i zagadnień, tematów i form wyrazu artystycznego.

W jednym i drugim wypadku działanie krytyki stwarza dla literatury okazję do pogłębienia swojej problematyki, do rewizji swego bagażu pojęciowego, do wzbogacenia i poszerzenia zakresu zainteresowań. Ale działanie krytyki w tym zakresie bywa także bardziej bezpośrednio. Esej krytyczny jest zasadniczo działaniem literatury pięknej, ale jest także działaniem piśmiennictwa z zakresu kry-

tyki. Słup pary i dymu wywijający się z dachów stacyjnych znaczył odjazd, pięczętował odjazd Agnieszki.

Ciemniało. Ruszył wreszcie od płota. Powiesił oczyszczoną od blasku motykę na kołku w drwalce, przetknął skobel uwiązany na sznurku pątykiem. Poprawił czapkę i wyszedł przed dom. Szedł przed siebie niewidzący, kierując się raczej czuciem.

Nie wiadomo, czy poryw wiatru nie zwykłego o zachodzie słońca, gdy ciśnie na świat schodzi, czy może ręka ludzka to sprawiła, że z wieży kościoła poszło dzwonienie...

Ostatni pociąg... ostatni... — szepotały wargi człowieka idącego tam...

Andrzej Krzyżanowski

(Dokończenie na str. 7)

## Ostatni pociąg

Dokończenie ze str. 4

Od tej chwili nie już nie pamiętał. Wiedział, że musiał być dechoćnienie, rozprawa. Ale co mówił, o co go pytano — nie mógł sobie tego uprzytomnić. Nie wiedział też, jak się to stało, że nie aresztowano go i nie wsadzono do kryminału, aby tam zgał, jak na to zasłużył. Sprawa skończyła się — jak mawiał później — idiotycznie. Wyrzucono go z kolei i tyle. Mógł się grzebać w ziemi, siać, okopywać i... wyglądać na pociąg. Ale kto wie, czy nie zrobili tego umyślnie. Aby go upokorzyć, złamać i rzucić na kolana. Zniszczyć w nim resztkę człowieczeństwa. Rozgorączkowany przypomnieniem mózgu starego weszły w podobnym sposobie załatwienia sprawy szczególnie rodzaj złości, zniechęcenia się nad i tak już po nad miarę udręczonym człowiekiem. Gdyby odsiedział więzienie — wycedłby czysty. Zawinił — odciernał karę, a więc mógł być przywrócony umiłowanej pracy. A tak? Zawsze będzie wypatrywał oczy za pociągami, będzie im myślał towarzyszył w biegu, lecz nigdy już, nigdy nie podniesie chorągiewki!... Czy kapali starem na zgrubiałe od pracy wroli palce wsparte na stylisku motyki.

Ostatni pociąg? O, nie, panie Brzeżek. Nie ostatni to był pociąg. Odprawiliś, ojcze, tam ten, odprawisz jeszcze niejednego. A może i nie odprawisz, bo odchodzić będą same, jeden za drugim. Bez i przeciw twej woli. Będziesz kłął, cholerował, a serce będzie ci ścisnęła taka sama żelazna obręcz, jaka gniotła palacza...

Za hitlerowskiej okupacji uciekinie ci na roboty do Rzeszy (ucieknie!) najstarszy z synów. I napisze stamtąd do matki, nie do ojca. I będzie tam tak napisane: „...bo wolę łajna spod bauerskich krów wywozić niż siedzieć w domu z tatą i słu-

chać jego kłatw i wyzwisk. Co zarobię, to posłę tobie, Mamo, w markach, żebyś nie była na łasce starego, co go za ojca nie uznaje...” Tak wyczytasz z listu wykradzonego żonie. Będziesz chodził wściekły, z twarzą ciemną jak noc, będą ci się bebecchy przewracać, ale nie znajdziesz w sobie siły na odmianę postępowania. Zerwiesz się poprobować żyć po ludzku i nie wytrzymasz ani dnia. Sprowadzisz córkę pierworodną z miasta, gdzie na tajne komputy uniwersyteckie już chodziła. Dziewczyna da się namówić twoim listom przypuszczając, żeś się może w ogromnie wojennych nieszczęść przepalił, ku starości udobruchał. Ale gdzie tam. Nie wytrwa ona w domu ojcowskim i kwartału. Zgłosi się do Schulamtu i wyjedzie jako wiejska nauczycielka do zapadłych Kątów. Decyzję swoją będzie motywowała potrzebą pracy, a stara wiedźma Kowalska przyleci ci któregoś dnia pod okna i nawydziała Bóg wie co.

— Tak, tak dobrze jej pan życie zgotował! Żeby córka z domu rodzicielskiego do obcych szła, to już pojęcie przechodzi!...

— Co tam pani gada, język świerzb, co?! — zawrzeszczał stary.

— Nie gadam ja, nie gadam. Do mojej wnuczki przecie mówiła sama przed odjazdem...

— Idź do cholery, stara wiedźmo — zamachnął się siekierą, bo właśnie drwa ciupał.

Ona uśmiechnęła się szybko. A on siekiere rzucił, wpadł do izby, zatrzasnął drzwi, jakby od słów tamtych odgrodzić się chciał. Nie pomógł. Jak mogło pomóc! Skręcił papierosa z samosiejki, zaciągnął się wstrętnym dymem. Siadł koło pieca — i tak przesiedział do zmroku.

Nie kłął, bo i tego widać mu zbrać. Ślina w ustach zaschła.

Gdy Agnieszka postawiła przed nim talerz dymiących zacierok, rzu-

cił się na jedzenie jak zgłodniałe zwierzę. Oprożnił może z połowę talerza, gdy znówu go napadło. Stracił talerz ze stołu, aż skorupy rozprysły się po całej izbie. Wrzasnął na Agnieszkę, żeby sprzątała. Nie zmilczała mu tego. Wtedy głos podniósł i do bicia się brał. Na to do kuchni wszedł młodszy syn.

— Co ty, ojciec — za barwy stare. go utąpił — matkę będziesz bił!?

Cisnął ojcem, jak woiem, na łóżko, aż jęknął.

— Podniesiesz rękę na matkę, to ja ci mówię: więcej nie wstaniesz!

Stulił uszy Brzeżek, skurczył się w sobie i zapadł, jak zapadają się po gwałtownej ulewie świeże mogiłki b'edaków. Tak samo, jak grób najmłodszego syna, zastrzelonego podczas la panki.

STARY człowiek przetarł oczy wierzchem dłoni, schylił się, podniósł drzazgę i zaczął nią zeskrobywać glinę z motylki. Czyścił tak żelazo do blasku. Zabolął go krzyż do długiego stercza nia przy parkanie. Przysiadł. Słońce miało się ku zachodowi.

Okupacja minęła, a teraz? Córka-nauczycielka wyjechała ze wsi do miasta. Wezwała tam do siebie siostrę; kształciła ją będzie — słyszał. Musiała pisywać do matki. Widywał listy, które żona sylabizowała zdejmując co chwila zapotniałe okulary, ocierając łzy i odsuwając papier jak najdalej od oczu. Nie pytał o nie. Z rozmów matki z młodszym synem, który został w rodzicielskiej chacie i do żeniactwa się sposobił, doszły Brzeżka wieści o najstarszym. Wrócił pono do kraju, nad morzem gdzieś pracował. Rybactwa się miał, dobre miało mu się wieść, matkę prosił o przyjazd: wnuczka bawić.

Już wczoraj Brzeżek zmiarkował, co się święci, Agnieszka długo prze-

Zygmunt BERWIŃSKI

# UNITED STATES OF MAC CARTHY

„Od przyjaciela pracującego w Głosie Ameryki od paru tygodni nie otrzymałem odpowiedzi na list... zatelefonowałem do niego. Telefonem moim był on w sposób odczynny przestraszony. Na wszystkie moje pytania odpowiadał tylko krótkim tak lub nie, a rozmowę zakończył „myślę, że mnie rozumiesz"... oczywiście zrozumiałem. Mój znajomy był przekonany o tym, że rozmowa jest podstępnie prowadzona. Wiedział, że ja wprawdzie się w krytyce najnowszych, sprzecznych z demokratycznym tradycjami tendencji amerykańskich. Znał, że mój musiał się obawiać, że jego kompromitujący kontakt może być kiedyś wyciągnięty przed oficjalną komisją śledczą Kongresu...“ pisał burżuazyjny publicysta Curt Riess.

Słowa te, umieszczone w szwajcarskim tygodniku „Weltwoche“, w żadnej mierze niepodejrzany ani o lewicowość, ani o zasadniczość, trafiający się coraz częściej w burżuazyjnych środowiskach antyamerykanizm, są słowami surowej prawdy, oświetlającymi stan rzeczy, panujący w amerykańskiej „demokracji“. Czytamy w „Economist“, piśmie londyńskiej City: „Kiedy rząd republikański doszedł do władzy, było ogólnym przeświadczeniem, że w ciągu sześciu miesięcy senator McCarthy powinien być unieszkodliwiony, w przeciwnym wypadku będzie za późno. Trzy miesiące już upłynęło, a senator jest teraz potężniejszy niż kiedykolwiek“. W chwili pisania tego artykułu od objęcia władzy przez Eisenhowera upłynęło przeszło sześć miesięcy, a sytuacja opisana przez „Economist“ w niczym nie uległa zmianie. „Eisenhower musi zlikwidować MacCarthya“ — oświadczył jeden z obserwatorów politycznych — w przeciwnym razie, za rok lub dwa, sam będzie musiał się tłumaczyć przed senatorem, że nie jest komunistą“. To już dawno, ale nie tak znów fantastycznie, jakby się zdawało. „Wielki polityk“ z Wisconsin nie tyka jeszcze prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale inwigiluje najwyższych urzędników i ingeruje w politykę personalną Eisenhowera, nawet w tych wypadkach, w których mianowania na stanowiska należą do jego wyłącznych prerogatyw. Drobiazgiem, ale charakterystycznym dobru mentalność MacCarthya, jest fakt, że przemawiając do Senatu poślą Wielką Brytanię do wszystkich diabłów, a o Attlee'm — przywódce labourzystowskiej opozycji J.K. Mości — stwierdził, że jest komunistą, na co — on, senator McCarthy — posiada „dowody“.

Można łatwo zrozumieć, dlaczego czynnik rządzący Ameryką pozwalają senatorowi na palenie książek na pisanych przez luminarzy kultury amerykańskiej, posiadających „wywrotowe tendencje“; można zrozumieć, dlaczego pozwalają mu i pomagać nawet w antykomunistycznej nagonce, mającej służyć wszelkie siły postępu i pokoju w społeczeństwie Stanów Zjednoczonych. Należałoby się jednak zastanowić, dlaczego tolerują działalność tego niebezpiecznego osobnika w życiu politycznym U.S.A.

Zacznijmy od truizmu. Wiadomo, że żaden kraj kapitalistyczny nie jest monolitem, że im bardziej posunięty jest w kapitalistycznym rozwoju, tym większe rozdierają go sprzeczności, zachodzące między interesem kapitału i pracy, a także między poszczególnymi grupami kapitalistów. Te ostatnie sprzeczności szczególnie ostro występują w Stanach Zjednoczonych. Przemysłowcy

ze Wschodu, wielcy hodowcy bydła i drobni farmerzy z zachodu, bawelniani latyfandyści z południa, bankierzy i transportowcy — wszyscy oni mają niejednokrotnie sprzeczne ze sobą dezyderaty, dotyczące spraw wewnętrznych i zagranicznych. Docho dzi do tego jeszcze głos przeciętnego Amerykanina, nauczyciela, ekspedienta, drobnego detalisty, który od kołyski oglupiany bzdurnymi filmami, idiotycznymi reklamami i niezdrową sensacją bardzo rzadko rozumie coś z otaczającego go świata, ale chce gospodarczej prosperity, chce pokoju i bezpieczeństwa.

Przypomnijmy sobie sytuację sprzed roku. Wiadomo było, że prezydentem Stanów Zjednoczonych zostanie generał Eisenhower, bez względu na to, czy będzie kandydował jako republikanin, czy jako demokrat. Obydwie te partie starały się go nakłonić do kandydowania z ich list. Eisenhower rzeczywiście został prezydentem, ale nie jako polityk, reprezentujący program republikański, ale jako człowiek, który przedstawiał dla przeciętnego Amerykanina największe gwarancje, że potrafi wyprowadzić Stany Zjednoczone z niebezpiecznej sytuacji międzynarodowej. Przypomnijmy — człowiek ten obiecywał pokój.

Czy znaczy to, że generał-prezydent nie ulga krępującym powiązaniom z kołami gospodarczymi, dotąd wyłącznie rządzącymi całym życiem politycznym Stanów Zjednoczonych? Wniosek taki byłby oczywiście całkowicie błędny. Wystarczy przejrzeć listę gabinetu, by przekonać się, że wszyscy jego członkowie związani są jak najściślej z big businessem.

John Foster Dulles był wiele lat radcą prawnym wielu koncernów i trustów. Bankierami są: Oldrich, ambasador w Londynie, Dillon, ambasador w Paryżu, Draper, ambasador przy Organizacji Paktu Atlantyckiego i Unii Stalowo-Węglowej. Sekretarzem obrony jest Wilson, prezes General Motors, zarabiający 600.000 dolarów rocznie. Jego zastępcy: Stevens — przenysłowicie włókienniczy, akcjonariusz General Electric, General Food, New York Telephone i wielu innych; Anderson — radca prawny wielkich przedsiębiorstw kapitalistycznych; Talbot, fabrykant samolotów, współwłaściciel National Bank, Chrysler Co i innych. Sekretarz Skarbu Humphrey, radca prawny spółek metalurgicznych i węglowych. Dyrektor Budżetu Dodge jest bankierem, właścicielem towarzystwa ubezpieczeniowego, współwłaścicielem Chrysler Co. Sekretarz handlu Weeks — akcjonariusz First National Bank. Trudno — nie możemy pisać encyklopedii i więcej nie wymienimy, choć można by tę listę przedłużać.

Eisenhower ulega naciskowi wielkiego kapitału, choć sam nie należy do kręgu wielkich wtajemniczonych Wall Street, takich, jakim na przykład był Hoover. Eisenhower-kapitalista jest drobną rybką.

Dlatego właśnie Eisenhower nie może sobie dać rady z awanturniczym senatorem Mac Carthy'm. Eisenhower lawiruje, a wokół niego ściera się zwalczające się nawzajem siły reprezentujące różne grupy wielkiego kapitału, zgodne tylko wtedy, gdy chodzi o wspólny dla nich wszystkich interes. Ten wspólny interes polega na nakręcaniu koniunktury gospodarczej, pozwalającej na maksymalne zyski. Koniunkturze tej najwięcej sprzyja utrzymywanie stanu między

narodowego napięcia i mobilizowania w samych Stanach Zjednoczonych historycznych nastrojów zagrożenia. MacCarthy działa na rzecz tego wspólnego, najważniejszego dla wszystkich celu. MacCarthy jest więc tolerowany — co więcej MacCarthy jest potrzebny i musi być popierany.

O tym jak bardzo MacCarthy wolał w Stanach Zjednoczonych i poza ich granicami historię antykomunizmu, do jakich wandalizmów i iście gestapowskich poczynań się ucieka — nie ma potrzeby się rozpisywać. Prasa codzienna pełna jest wiadomości — od rezolucji uchwalonych przez Córki Rewolucji Amerykańskiej do stracenia Rosenbergo — składających się na przynębiający w całości obraz. Ważne natomiast jest ogólne zorientowanie się w charakterze procesu, który przez prasę całego świata zwany jest maccartyzmem.

Analogię łatwo: Niemcy w latach 1932—1945, Włochy 1922—1945. Maccartyzm godzący w podstawowe wolności przysługujące osobie ludzkiej, przede wszystkim prawo samodzielnego myślenia i posiadania własnych poglądów, ma wszelkie cechy faszyzmu, nie mówiąc już o podobieństwie metod, takich jak palenie książek i policyjne przesładowania. Czy należy więc do tej samej kategorii zjawisk historycznych co hitlerizm i faszyzm włoski?

Najbardziej rzucającą się w oczy cechą wszystkich faszyzmów jest rozpięta nacjonalistycznego szowinizmu do maksymalnych rozmiarów. Osławiony amerykański styl życia, któremu pełne podporządkowanie się jest dopiero wystarczającą gwarancją lojalności a nawet „patriotyzmu“, posiada dzisiaj w Stanach Zjednoczonych w dziedzinie oficjalnych wartości ideologicznych takie wysokie znaczenie, że nie ustępuje on hasłu „Deutschland, Deutschland über alles“ w okresie największego nasilenia nacjonalistycznej megalomanii w Niemczech. Pod tym względem nie ulega wątpliwości, że maccartyzm jest doskonałą formą faszyzmu. Istnieje jeszcze drugi sprawdzian — można by go nazwać sprawdzianem przyczynowym.

Demokracja liberalna była ustrojem odpowiednim dla wczesnego okresu kapitalizmu, w którym zasady wolnej konkurencji niepodzielnie rządziły życiem gospodarczym, a burżuazja mogła utrzymać swoją przewagę nad młodą klasą robotniczą przy pomocy systemu parlamentarnego. W okresie kapitalizmu monopolistycznego i imperialistycznego, w okresie dojrzewania i wzmocnienia się klasy robotniczej burżuazyjne sformy demokratyczne stają się dla burżuazji ryzykiem i ustąpić muszą miejsca tendencjom faszystowskim. W interesie kapitalistycznych monopolistów osoba ludzka musi zrezygnować z prawa dokonywania wyboru, musi podporządkować się „narodowi“, jak zapewnia faszystowska propaganda, a w gruncie rzeczy musi podporządkować się bez reszty zcentralizowanemu aparatowi władzy administracyjnej i ogłupiającej propagandzie. Faszyzm jest politycznym odpowiednikiem procesu monopolizacji kapitalizmu. Takie właśnie przyczyny leżą u podstaw faszyzmu włoskiego i hitlerowskiego przewrotu w Niemczech. Wall Street zdecydowała, że Stany Zjednoczone „dojrzały“ do faszyzmu.

Są jednak i różnice. Język ideologiczny faszyzmu amerykańskiego nie zrezygnował w tym stopniu co język faszyzmu włoskiego czy niemieckiego z frazesów pseudodemokratycznych. McCarty'emu obca jest patolo-

giczna histeria Hitlera, nie obwija się także w togę cesarów śladem Mussoliniego. Są to jednak akcesoria dodatkowe i mało istotne. Wynikają one po prostu z innego podłoża kulturowego. Na pniu tradycji Waszyngtona i Lincolna, na pniu silnie zakorzenionej legendy „kraju wolności i demokracji“ powstanie faszyzmu „mundurowego“ byłoby trudne. Maccartyzm niemniej jednak jest faszyzmem z racji swych istotnych moralnych wartości, z racji konsekwencji społecznych i swojej klasowej funkcji.

Pozostaje jeszcze kwestia sił społecznych, do których dzisiaj maccartyzm się odwołuje. W Niemczech i we Włoszech elementem, na który stał się narastający faszyzm, były m.in. elementy lumpenproletariatu, który w ustroju burżuazyjnym jest zawsze oparciem dla wszystkich destrukcyjnych i wstecznych ruchów.

W Stanach Zjednoczonych sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana. Maccartyzm nie obejduje się bez lumpenproletariatu, chociaż rola jego w tym wypadku jest o tyle mniejsza, o ile nowopowstający faszyzm amerykański nie ma charakteru „mundurowego“. Natomiast elementem, do którego maccartyzm się odwołuje — jest drobna burżuazja i — stwórzmy nowy termin — lumpenburżuazja, czyli wszyscy drobni przedsiębiorcy i kupcy operujący minimalnym kapitałem, przetrzucający się z jednej działalności do drugiej, wypychani ze-

wsząd przez wielki kapitał; to także drobni samodzielni fermerzy, nie wytrzymujący konkurencji wielkich przedsiębiorstw rolno-hodowlanych, bici na każdym kroku uprzywilejowaniem przemysłu w polityce gospodarczej państwa. To wszyscy ci, którym jest źle i którzy nie potrafiąc zrozumić przyczyn tego zła, wpadli w sidła demagogicznej propagandy MacCarthya: „wszystkiemu winni są komuniści“.

„Wszystkiemu winni są komuniści“ — hasło to nie przypadkiem połączone zostało z hasłem „America first“. Nie przypadkiem rozbudowały faszystowski nacjonalizm połączone zostały z antykomunizmem. Dla kapitalizmu amerykańskiego przedstawia pewne zagrożenie konkurencja kapitalizmu angielskiego, niemieckiego czy japońskiego. Ale z tymi może sobie poradzić tradycyjnymi sposobami. Faszyzm, nacjonalistyczna gorączka, potrzebny jest do zwalczania groźniejszego nieprzyjaciela, do zwalczania socjalistycznych dążeń budzących się w masach własnego kraju.

Przeciętny Amerykanin, który zawiódł się na Eisenhowerze, popełniłby drugą, gorszą w skutkach omyłkę, gdyby uwierzył MacCarthy'emu. A senator powodowany bezbrzeżną ambicją nie zasypia gruszek w popiele. Nie bez kozery jeden z jego nagania czy rozpoczął niedawno przemówienie od słów: „Kiedy Joe będzie prezydentem...“

Zygmunt Berwiński

## Literatura i krytyka

(Dokończenie ze str. 6)

tyki kultury. Rola jego w tym z kreśle może polegać: 1) na obronie i usadnieniu jednego systemu wartości przez dyskusję z innymi systemami, 2) na rozwijaniu wewnętrznej problematyki wyznawanego systemu. I w jednym i w drugim wypadku może to być krytyka zła albo dobra. Z pierwszą będziemy mieli do czynienia wtedy, gdy krytyk postawi sobie za punkt honoru dogmatyzowanie przyjętego stanowiska, kodyfikowanie irracjonalnych przeświadczeń i niesprawdzalnych naukowo założeń jako ściśle odpowiadających „naturze rzeczy“, z drugą — gdy dążyć on będzie do coraz dokładniejszego i ściślejszego precyzowania pojęciowego swych założeń, do stale postępującej racjonalizacji, unaukowania swego światopoglądu. W zależności od wyboru jednego z tych kierunków krytyka stawać się będzie albo coraz bardziej dogmatyczna i formalistyczna, albo coraz bardziej precyzyjna metodologicznie i sprawniejsza w radzeniu sobie z zagadnieniami życia literackiego.

Esaj krytyczny inspirowany przez ostatnią z tych postaw wehlania w siebie elementy wiedzy naukowej, staje się rodzajem przejściowym łączącym strefę literatury pięknej ze strefą piśmiennictwa naukowego. Tu jednak trzeba znowu rozróżnić dwie funkcje krytyki w mniejszym lub większym stopniu unaukowanej. Argumenty naukowe mogą być wykorzystywane równie dobrze jak wszelkie inne (gdy operuje się np. gotowymi konkluzjami jakiejś teorii naukowej pomijając jej założenia badawcze i metody działania) do obrony wszelkiego rodzaju stanowisk nie naukowych. Inaczej, oczywiście, przedstawić się będzie nauka, gdy krytyka postawi sobie za ideał maksymalne unaukowanie zarówno metod swego działania, jak i samej postawy badawczej, gdy za obowiązującą uzna dla siebie konieczność coraz doskonalszego precyzowania naukowej perspektywy światopoglądowej.

Zajmująca także stanowisko krytyka wpływać będzie na literaturę inaczej niż krytyka poprzestająca na pseudoracjonalizacjach, czy też czasowych racjonalizacjach odbywających się poza kręgiem intelektualnych i moralnych oddziaływań naukowej perspektywy światopoglądowej. Oddziaływanie te mogą być bardzo różnorodne. A więc przede wszystkim: krytyka uświadamia sztuczne uchwytne pojęciowo znaczenie realizowanych przez tą ostatnią koncepcji artystycznych i zagadnień, wych, rozszerzając przez to i pogłębiając wiedzę artysty o sobie samym i jego warsztacie, nastawiając jego zainteresowania na sprawę podboju coraz nowych dziedzin rzeczywistości przez świadomość ludzką.

Rezultaty tego oddziaływania mogą wyrazić się zarówno w sięgnięciu przez artystę do tematyki spraw i zagadnień naukowych, w zainteresowaniu się dramatem myśli porażającej się z nieopanowanymi przez nią zjawiskami i zagadnieniami, jak również w zainfekowaniu umysłowości artysty myśleniem zorientowanym naukowo. W pierwszym wypadku rozszerza się sfera tematyki i problematyki literackiej, w drugim — ulega bardzo istotnemu przereorganizowaniu świadomość pisarza. Tajemnica przestaje działać nań tym właśnie, że jest tajemnicą, że kuszący irracjonalne, w chaos, w artystę czuje „wszystko jest dozwolone“, ale zaczyna być odczuwana jako zadanie do rozwiązania, jako prowokacja dla zdobywczej myśli człowieka.

I na tym właśnie polega najwyższy triumf krytyki, która — jak to staraliśmy się wykazać — nie jest niczym innym, jak stałą potęgającą się samoświadomością literatury, wyłonioną przez nią organem samopoznania.

Słaban Lichański

Jan GÓRSKI

# Tertium... datur oraz nieznane listy Adolfa Dygasińskiego

TO, co mówiono i pisano o Dygasińskim, nasuwa w pewnych wypadkach podejrzenie, że arcydziełna, zdawałoby się nieprzepuszczalna formuła logiczna *tertium non datur* — ma swoje luki. Bo... właśnie *datur*. Oto na przykład Zygmunt Wasilewski wkrótce po śmierci autora *Godów życia* we wspomnieniach swoich urebił go na pojedynka chadzającego bezstannie, któremu, rzecz prosta, nikt z tzw. różnych „odłamów opinii” nie zapalał świeczki ani ogarka i nie ułatwiał zadowolenia ze swej kariery pisarskiej omraczającymi bystrzowoczością kądziłkami: „Zadne pismo nie robiło mu fanfary, nie głosił jego sławy żaden obóz. Nie należał do żadnej klikki ani plejady: trzeba go było pamiętać osobno” (*Współczesność*). Tymczasem jeszcze za życia Dygasińskiego, zwłaszcza, gdy zbliżył się do redaktorów *Głosu* (Jan Ludwik Popławski, Józef Karol Potocki, Zygmunt Hejny, Antoni Zakrzewski), ludzi o dosyć zdecydowanej woli politycznej, spora ilość dzienników, kuryerów i gońców uznawała sławę pisarza za rozdychaną przez obóz, klikę i plejadę. A już znacznie wcześniej przydomek „skrajnego pozytywisty” chętnie doczepiano do jego nazwiska. Skrupulatny badacz, Zygmunt Szweykowski, w książce *Dramat Dygasińskiego* (1938 r.) sprrowadził niejako do wspólnego mianownika te rzeczone sądy: Nie brał kowala dowodów uznania i dowodów potępienia, bądź co bądź pisarz nie był przemierzany i nie umieszczał się nie pod kłosem izolacyjnym, materializmem, owszem, ale szczególnego autoramentu: „Mamy wobec tego materializm dumnie stojący przez całe lata, obok skłonności do religijnych popędów uczucia”. Słowem — *tertium datur*.

Według Zygmunta Wasilewskiego — w Dygasińskim był zaczajony kpiarz, dla którego świat — to skwapliwie poszukiwany logarytm humoru: „Oczy miał figlarne i żywe, uprzedzające błyskami każde do sładniejsze słowo. I usta dostrajały się do wyrazu. Były to usta kpiarza, na pół ironiczne, na pół dobrodusze, nie wykrzywione”. Dla Stanisława Brzozowskiego koncentrował się w Dygasińskim najczarniejszy pesymizm: „Dygasiński odczuwał życie ludzkości jako beznadziejny smutek, jako bezużyteczne znudzenie... Przyroda, świat bez człowieka musiała stać się dla niego ucieczką”. (*Dzieła wszystkie* t. VI, Warszawa 1936 r.). Zygmunt Szweykowski utrzymuje, że w osobowości Dygasińskiego świat, jak w pryzmacie, rozszczepił się na barwne pasma humoru, upojenia i bolesności: „Trzy zasadnicze fazy uczuciowe możemy wyodrębnić... Jedną jest postawa humerystyczna, wypływająca z odczuwania harmonii, równowagi między jednostką i światem... Odczuwanie harmonii zjawisk wywołuje nie tylko humor; uczuciowość często się potęguje, intelekt schodzi na bok i pojawia się wówczas upojenie, zachwyty nad bytem, dochodzący aż do ekstazy religijnej... Ale jest także postawa wrecz odrębna, gdy Dygasiński od ogółu, od zapatrzenia się w całość bytu przechodzi do losów jednostki,

w tym bycie tkwiącej i od niego całkownie uzależnionej. Prawa bytu, działające na jednostkę, odstawiają wówczas swe tragiczne oblicze. Pojawia się pierwiastek walki o prawa swego ja, swej indywidualności. Walka ta musi się skończyć katastrofą jednostki...” (l. c. jak wyżej) *Tertium datur*.

Albo oryginalność. Recenzent *Przeglądu Tygodniowego* (1884 r., nr 34) wykrzykuje z zapalem: „dotąd nie podobnego w literaturze naszej nie spotkaliśmy”. Sekunduje mu Zygmunt Wasilewski w dytyrambicznym pochwaleniu autora, który „jest poetą życia pierwotnego, rządzonego prawami natury” i którego twórczość — to soczewka ogniskująca wspomnienia „wspólności rodowej wszechrzeczy”. Krótko mówiąc — unikat. Przy czym kompozycja, dajmy na to *Godów życia*, nieskazitelna, objęta rytmem pół roku, wiążąca w harmo- nię całość dołu jednostek z bezmiar- em powszechnego bytu. Wacław Borow- y w sceptycznie ocenia zdolności kompozycyjne Dygasińskiego, a jego oryginalność podważa twierdzeniem, że autor często przekalkowuje własne motywy, „a jest w nim parodia karykatur Kostrzewskiego zabawnych, lecz nie na długo. „Asa czyta się z zajęciem podobnym do tego, z jakim się przegląda w starych *Kłesach* czy *Tygodniku Ilustrowanym* humorystyczne rysunki Kostrzewskiego... Obejrząwszy kilkadziesiąt rysunków Kostrzewskiego, mamy na czas dłuższy dosyć. Przeczytawszy kilkadziesiąt stron *A-a*, chętnie przerywamy lekturę. Zwłaszcza, że repertuar komicznych motywów rychło zaczyna się powtarzać... przejawiają się rażące czy...konieczności „podeinkowego” felietonisty: tym chyba tylko można sobie wytłumaczyć, że od czasu do czasu opowiada on o czymś, co żadnego związku z losami Asa, ani żadnego wpływu na nie nie miało”. (*Studia i rozprawy*, Wrocław 1952 r., t. I).

Na koniec karta, jaką niemal każdy recenzent i krytyk wyrzucił na ścieżkę: zestawienie Dygasińskiego z Kiplingiem. Dygasiński wcześniej- szy, Dygasiński bardziej realistyczny, bardziej prosty, ścisły, rzetelny przyrodnik-literat, gdy tamten wyłącznie literat, fantazjujący na tematy zwierzęce zarodziejski baśnio- pis, antropomorfista, który obdarza swoje niedźwiedzie, pantery, węże, tygrysy, wilki wyrafinowaną ludzką filozofią. „Wilki, psy, zające, lisy, bociany, gołębie, słowiki — pisał Chmielowski w 1886 r. — oto właściwi bohaterowie obrazków Dygasiń- skiego” (*Zarys literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu*). Aleksander Brückner wprowadza już Kiplinga: „Więcej przed Kiplingiem jeszcze sięgnął do tajników bytowania Butnych i Azorów”. Zygmunt Wasilewski nie poprzestaje na chronologicznej stabilizacji, lecz porównanie z chluba dla polskiego autora rozszerza: „Nie jest to egzotyka, wystawiająca na popis swoją znajomość życia puszcy, jak Kipling, ani bajkopisarz obsługujący się zwierzętami dla zrobienia dowcipnej a-alegoryi światów zwierzęcego i ludzkiego” (l. c. j. w.). W monografii Zygmunta Szweykowskiego również figuruje Kipling, co zniescierpliwilo Wacława Borowego: „Czemuś analogi znum byłoby, gdyby ktoś porównywał np. *Śmierć Prokris* Pierra di Cosimo z jakimś obrazem Wierusa Kowalskiego, w którym tak samo jak tam jest pies, i przyszedł do wniosku, że realizm Wierusa Kowalskiego jest wyższy, bo mistrz włoski prócz realnego psa pozwolił sobie wprowadzić do obrazu nie istniejącego fauna” (l. c. j. w.).

Ostatecznie jednak wszyscy zgadzają się, że popisowe karty sztuki pisarskiej Dygasińskiego — to właśnie obrazki z życia zwierząt. „Wielbiciele Dygasińskiego (od których Borow- y tym zwrotem niejako się odgra- dza — przyp. mój — J. G.) mają słuszną w jednym: jest on pisar- sko najczystszy tam, gdzie przedstawia zwierzęta w oddaleniu od ludzi”. Aleksander Brückner wydobyla stąd efekt niebywale gorzkiej ironii, kto wie czy w zastosowaniu do Adolfa Dygasińskiego nie najbardziej trafny? „od zakusów czysto neologiz- mowych wyzwoliły go i w końcu natębnely czysta poezja — zwierzęta” (*Dzieje literatury polskiej w zary- sie*).

Trzeba to bowiem przyznać, że choć zwierzęta najmocniej przywła- dza do wyobraźni Dygasińskiego nasz chłop pierwotny, rzecz można stworzyć kopalniany o instynktach wy-

ostrzonym do granic ostatecznych przez niemal zwierzęce warunki by- towania: „Dygasiński schłopił hory- zont wsi — stwierdza Antoni Potocki — pokazał nam cały jako jedno obejście, gdzie obywatelstwo skrzyd- late i czworonożne jest dalszym cią- giem (młodsza bracia) chłopca” (*Pol- ska literatura współczesna*). W tej dziedzinie, w tym macezniku pierw- otności wizerunek powieściopisar- ski chłopca jest niemiernie wstrzą- sający, jak ongiś wizerunek politycz- ny u Staszycy. Gdy czyta się *Nie- zdare*, *Beldonka* czy inne tego rodzaju opowiadania, przychodzi na myśl obrazy Maks Gierymskiego: jałowe wżgórza, karłowate sosny, koł, u

Peszke, prof. Napoelon Milicer, archi- tekt Twarowski oraz kilku dzien- nikarzy, aktorów, malarzy. Adres- tem listów jest dr Józef Peszke. Od noszą się one do lat 1893-1895, gdy Dygasiński paralił się guwernerką po wielkopolskich domach. Dowodzą wielkiego życia się z pewną grupą ludzi w Warszawie. Ujawniają spo- ro zartobliwości a nadto upodobanie do stylizacji staropolskiej.

Ostatni list nie jest datowa- ny. Podajemy in extenso wywód p. Peszkowej, w którym stawia hipotezę co do daty tego listu: „Ten list nie jest datowany. Ponieważ Dygasiński wspomina w nim że bawi na Podolu dopiero trzy

szawy w Sobotę, zabawię jeszcze tu- taj cały tydzień.

Ścisłam Twą rękę i zostaje  
23 IX 894 z przyjaźnią  
A. Dygasiński

Młynów 19 listopada 1894 r.  
Kochany Józefie;

Serdecznie, ale to bardzo serdecz- nie, dziękuję Ci za list, który całą swą cenną zawartością sprawił mi wiele zadowolenia. Rysunek obecnego stanu po szczególe branych przyja- ciół kolegiatów — wybory. Proponuję dla Pompila wyrzeźbanie me- dalu od kolegiów zaufanych: Ry- cerz, trzymający w ręku powiewają- cy sztandar z damskich majtek, a na tém wypisane godło: „Tel tu me vois, tel je suis”. Można zresztą pod tym względem zaufać Twojej zarów- no wyobraźni, jak fachowej kompe- tencji i zdzieleny takowych kunsztów.

Ponieważ moja chlebobawczyń; zwleka ciągle wyjazd swój do War- szawy, przeto sprawa lekarza, poru- szona przezemnie, a przez Ciebie set nie napoczęta, tak obecnie staje: —

Dr Z. Wisłocki może niezwłocznie wsiąść na kolej Terespolskiej i przy- jeżdżać do Młynowa via Dubno. Obec- nie jest tu nawet powszedni dużo cho- rych, przeto łatwo będzie się mógł dać poznać. Dopóki się nie urządzi w miasteczku Młynowie, gdzie jest dom dla lekarza, Chodkiewiczowie dają mu u siebie stół i mieszkanie. Dalsze warunki, skrupulatnie przezemnie zebrane, tak się przedstawiają:

1. Prowent młynowski płaci stałej pensji 300 rs.

2. Rocznej ordynaryi 20 korey złoza.

3. Mieszkanie i opał.

4. Pani Ledóchowska ze Smardwy płaci 100 rs.

5. Aptekarz młynowski [płaci] 100 rs.

6. Rządca Młynowa pragnie też płacić 40 rs.

Ale twierdzą, że u niego lepiej jest brać za wizyty. Powyższe dane są tō fakta, za pewność których zarezczęm, ponieważ mi je przedstawiła hrabina Chodkiewiczowa. Jeżeliż zatem łaskaw, Drogi Józefie, przedstaw to Drowi Wisłockiemu, a za przybyciem swoim podziękuję Ci osobiście. —

Niestety, żywot mój tutaj nie jest tak bogaty w przypadłości, jak Wasz tamtejszy! Mogę ja pisać je dynie o swojej marniej osobie, która obecnie nurza się w kałużę różnych preceptorów sprosności, skąpo ma- jąc czasu gwoli rozweselenia się bi- siadą duchową, bodaj nawet jako sa- motny pojedynek. Z tém wszystki- em i tak mam nadzieję ukończyć przed B. Narodzeniem powieść „As” dla „Kur. Warsz.”, a jeśli Pan Jezus pozwoli, to i pośmiertny suplement dla konsula z *Badźcencina* (znalazłem i tę formę teraz, używaną w XVI w.).

Piszę także do Honorowego, który Ci niechybnie pozdrowienia moje oznaj- mi, to Mu z łaski Swojej oddaj pięk- nym za nadobne. —

Jak dotąd, mam zamiar być 22 Grudnia na Waszém kolegium tém bardziej, że w Warszawie krótko za- bawię, ponieważ wypada mi jechać gdzieś pod Humań w celu porozumie- nia się co do dalszej helferki od Paź- dzielnika 1895 r.; a więc żywot swój reguluję, jak widzisz, podług modły „Drang nach Osten”

Badź łaskaw wyobłapiać członków Kolegium w mojem imieniu. Pisząc do Honorowego, zapomniałem Go pro- sić o afekt dla Weglińskiego, którego pominałem w wylczeniu Kolegiatów. Raczej Jego poczciwą prawicę odem- nie uścisnąć.

Ciebie z całego serca ścisłam po przyjacielu, a Pani rzetelnego sza- cunku i pozdrowienia słowa zasylam.

Dr. W. J. Peszke  
Otrzymałem w jednym egzemplar  
„Impresy”  
D. 22 Młynów 894

którego kości widoczne przez skórę, opadał jakiś szkielec i chłop zęgnaj-ący konia żalonym spojrzeniem istoty otepiałej, oszłomionej niedo- lat, a nad tym zbiorowiskiem sympto- matów straszliwej nędzy — szare, beznadziejnie smutne chmury. „Jakieś mdłe prosa — mówi Dygasiński w *Niezdare* — gryki i kartofle tu ro- sną, a czarni ludzie i ich pacholeta je plewią. Nie śmieją się oni, zdiko i smutno patrzą”. Czasem na skraju takich pół widać dymy miasta. Za Gehenną słomianej strzechy — Ge- henna murów i zaułków, gdzie słoń- ce nie dociera. Rzuciła się czu- łość Dygasińskiego, jak tragiczny drogowskaz, między niedarzy tych obu perspektyw ówczesnej cywiliza- cji. Pochwylił to swoja wrażliwo- ścią Stanisław Brzozowski, charakte- ryzując ówczesną powieść polską, nie omieszkał oddać należitych honorów tej rzetelności widzenia rzeczy u Dy- gasińskiego, której zapewne n'e do- rownała siła kształtująca i za którą nie wydażył artysty powieściopisa- rza: „Dygasiński widział równie ja- sno i debitnie, jak Prus i Orzeszko- wa, konieczność rozkładu dawnych ziemiańskich form życia. Jednocześnie widział już nowe zagadnienia społeczne, jakie rozwój przemysłowy rzucił z siebie i których rozwiązanie przekracza już granice mieszczań- skich form myśli i kapitalistycznego rozwoju społecznego... i gdy się czy- ta *Gody życia*, pojmując się, jak mu- siało męczyć i nużyć tego człowieka miasto, jego płytki zgieleć i ginące wśród kamieni lzy” (l.c.j.w.). W tej niechybności odczuwania sprawy czo- łowieka i przyrody u dojzalego hu- manisty, niechybności zwichniętej niejednokrotnie przez niewydolność artystyczną tkwi, jak się zdaje, sam rdzeń „dramatu Dygasińskiego”, o którym tak szeroko pisze Zygmunt Szweykowski. Niezapewnić artysty przw zupełności humanizmu.

Dopiero z takiej skalistej podsta- wy wytrysnął źródłanie czysty, pie- niący się peun na cześć wiekuiętej potęgi życia, a na jego strzelistej strudze zamigotał i rozbłysnął — humor. *Gody życia* otwiera fraza tak lotna, czarując rześka i uśmiechnie- ta, że porównałbym ją z frazą rzp- czynającą baśń Andersa na o słowi- ku i cesarzu chińskim, Jeżeliż Mak- sym Gorki w wieku pacholęcym uległ bezwładnie urkowi pewnych złań opowieści Andersena, to mamy n'e mniej ważki powód, aby podać się czarowi melodii i zawcalowanej przez nią ironii w uwerturze *Godów życia*: „Pochodził z bardzo starożytnego ro- du Mysikrólików, których w ciągu wieków nie skaziła przymieszka krwi obcej. Błąd rodowy nie obarczył tu nigdy ani miecza, ani kądzieli, cho- ciaz w boru pełno jest śpiewaków niebezpiecznych dla pój pięknej i ba- letnie gotowych zwracać głowy ryce- rzom”.

Listy Dygasińskiego, które się tu- taj publikuje, są własnością p. Wan- dy Peszkowej. Znalazła je ona w pa- pierach po zmarłym w 1916 r. dokto- rze medycyny, Józefie Peszkem. Rzu- cają one światło na okres warszaw- ski życia Dygasińskiego, zwłaszcza na rozczulone przyjaźnie wśród in- telktualistów, takich jak dr Józef

1) Aby ustalić datę listu, trzeba by- wiedzieć, jak długo Dygasiński ba- wił jeszcze w Młynowie i czy jeszcze kiedy wyjeżdżał. List 3 wyraźnie wspomina o zamiarze wyjazdu gdzieś pod Humań, prawdopodobnie do tej- że Chrzanówki. A więc byłaby to wiosna 1895 roku, gdy pisał ten bar- dzo szczerzy i miły list, przepara- zając za spóźnione podziękowanie za „nadobną uczciwość”, jakiej doznał od Kolegium przy wyjeździe. A przecież w listopadowym liście chie- ciał być 22 grudnia na Kolegium i zapewne wtedy odbyło się to poże- gnanie”.

2) Wielce Szanowny Panie doktorze, a mnie Drogi Panie Józefie;

Wasz zacy list, począwszy od ko- perty, napisu i papieru, a kończąc na treści niepospolitej, napelnil ser- ce moje rozkoszą. Z drugiej strony jednak zafraasowałem się tém niemal- o, że zyczeniem Waszym nie mogę zadosyć uczynić w Sobotę. Wypadła sprawa jakaś (nawpóhonorowa), któ- ra mi zżawi prawie do północy w onęj Sobotę, tak że dopiero około 12-jej mogę stanąć jedynie [tylko (skreślone przez autora)] na *Colle- gium*, a w Niedzielę tylko, coś około 2-jej, będę u Was w domu, aby pożeg- nać Was i Waszą Szlachetną rodzinę, która mi okazuje tyle przyjaźielskie- go serca.

Zacną Waszą prawicę serdecznie ścisłam


przyjaciel  
Adolf Dygasiński

7 Kwietnia 893 r.

3) Kochany Józefie;

Panowie: Chmielowski, Kwietniew- ski, Białowiejski, Poznański itd., do- wiedziawszy się odemnie, że „Impre- za” jest w Twych rękach, upraszają,

abyś był łaskaw przysłać egzempla- ry do Pana Antoniego, a on je roz- da wszystkim, którzy u niego figuru- ją na liście, jako nie posiadający „impresy”. Przy sposobności donoszę Ci, iż z powodu złych wieści o zdro- wiu Córki i o Jej powrocie do War-



Krytyka Wróblewska  
OJCZE NASZ  
Dizeworyty  
Cena zł 36.—

J. Nowak-Dłużewski  
STANISŁAW KONARSKI  
Cena zł 20.—

Graham Greene  
BRON NA SPRZEDAŻ  
Cena zł 22.—

ARKUSZE POETYCKIE  
10 Autorów  
Cena zł 12.—

Fawel Jastelica  
WISŁA POZEGNA ZAŚCIANER  
Cena zł 20.—

G. K. Chesterton  
PRZYGODY KS. BROWNA  
Cena zł 18.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „PAX”,  
Mokotowska 43 Warszawa za zali-  
czeniem pocztowym lub na wpła-  
cie na konto PKO Nr 1-8515 z dodaniem  
zł 3 — na koszt przewoźnika



Chłopców też ściskam, a dla Basiuni — afekt osobny.

Twój  
Adolf Dygasiński

4)

Kochany Józefie;

Ponieważ jest periculum in mora, przeto odpisuję Ci natychmiast i stans pede in uno. Wyjechałszy z Warszawy po 3-iej po południu, a przesiadając się w Brześciu i Zdobunowie (nie pamiętam, czy i w Kowlu), podróżny przybywa co około 9-iej rano na drugi dzień do Dubna, gdzie się kończy podróż parą. Je żeli zaraz po odebraniu tego listu Dr Wisłocki napisze, albo zatelegrafuje, kiedy wyjeżdża z Warszawy, lub — przyjeżdża do Dubna, co na jedno wychodzi, to wyślemy po Niego konie. Gdyby więc napisał np. we środę, możemy list odebrać dopiero w Sobotę, gdyż do Młynowa przychodzi poczta tylko w Poniedziałki, Środy, Czwartki i Soboty; a w takim razie należałoby Mu wyjechać z Warszawy w Sobotę, ażeby w Niedzielę rano był w Dubnie i zastał tam już konie tutejsze. Od Dubna do Młynowa jest wiorst 18, to jest od stacji Dubno do miasta Dubno — 4 i od miasta Dubno do miasteczka Młynowa — 14. — Gdyby skomunikować się z nami dla jakichś względów było niemożliwe, to w Dubnie są tak zwanane dorozki, z których każdą najęć można do Młynowa mniej więcej za 1½ do 2 rubli (tak zwykle ja płacę). Niezależnie od dorozek istnieje poczta, utrzymująca coś około 30 u koni dobrych i za parę zaprzęgniętych do karabonu (po wolińsku = szaraban) płaci się do Młynowa 2 ruble. Trzeba tylko ze stacji kolei kazać się za wieź prosto na pocztę, za co płacić dryndzie złp. 3 gr. 10 — najwyższy.

Zdaje mi się, że sprawę wyczerpująco przedstawiłem; dodaję jeszcze, iż po przybyciu do Młynowa, do tak zwanego pałacu prosto, Dr Wisłocki raczy powiedzieć pierwszemu spotkanemu famulusowi: „Chcę się zobaczyć z Dygasińskim!“ Skoro to nastąpi, resztę zrobimy tutaj obojętnie. Gdyby Dr Wisłocki telegrafował, to tak: „Dubno — graf Chodkiewicz estafeta w Młynów przyjeżdża Subbota... Woskresienie“, czy tam inny jaki dzień. Niezależnie od tel-gramu, sztafeta kosztuje coś 85 kopiejek.

Mój Drogi Józefie, narobiłem Ci garusiu; ale tak zawsze: gdyż dobry, to Cię zaraz łupią, a najprzód przyjaciela.

Ale, ale — oświadczyć D rowi Wisłoc kiemu, że w Młynowie obecnie od 2-eh tygodni niema żadnego lekarza i On sam będzie. Złoty gór Mu nie obiecuje, jednak może mieć praktykę wcale niezłą, jeśli się do ludzi weźmie.

Ściskam Cię serdecznie i polecam się Twój szlachetnej pamięci.

Twój Adolf.

Młynów d. 26.XI.1894 r.

5)

Mój Drogi;

Dotychczas nie podziękowałem za tym uczestnikom Waszego „przystojnego stoliczka“ za nadobną a wielce miłą mi „uczciwość“, jakiej doznałem na wyjeździe w Warszawie. Czynie to dzisiaj dopiero, narażając się — naturalnie — na zarzut, że „actio sera non est vera“, co sprawa zniżkę walorów mojej galanterii dla Collegium.

Ale — widział — jest wiosna i ja, stary, puszczałem wtedy kilka pączków, jak każdy pień rdzeniem jeszcze żyjący cokolwiek. Dobrze mi, gdyż ma złudzenie zielonej młodości sędziwość moja; puka razem z zębem, drzewina, cieszy się z ptastwem. Nie chce się wyleźć z tej skóry. Lysina na łbie wydaje mi się być zieloną murawą, a bezzębne dziąsła — pełne stokrotek. Dużo trawy, mnóstwo światła przekształcają mię w bydlę zupełnie zadowolone: L'âme se dispen se d'être. Mniejsza o to, z jakiej bułki, byle się upić! — Do takiej wiosenniej mojej rozpuszty dodaj pobyt na pięknym Podolu od trzech tygodni

i w jednym z najprzyjemniejszych, jakie znam, domów; więc używam i na wdziękach towarzyskiego życia. Gospodarz domu — bursz tak dosko nały, że dopiero po piętnastu dniach pobytu zrobił mi niespodziankę swoim talentem muzycznym. Pani — istna kasztelanka feodalna (rozumieć przez to zalety, a nie przywary epoki). Kiedy się tak na czysto żyje wrażeniami, nie przychodzi na myśl żaden katechizm przyzwoitości, moralności, etykiety; jest się drewniem podobnym do młodzieńczego niedźwiedzia z Sienniej ulicy — znasz go? Ale, ponieważ opuszczam Podole, zaczynam wstawiać w siebie klozy uspołecznionego człowieczeństwa i pierwszym krokiem moim w tym kierunku był list z powinszowaniem imienin do Córki, drugim — list do Ciebie. Ściskam serdecznie Twą pracę, którą raz uciśnięć, podpisanych na sylwetce mojej, kompanów, a przez nich — Napoleona.

Twój Adolf

Gdybyś mi odpisał, adresuj: Wołyńsk. gub. w Młynow Woł.

Przypisy

List 1-szy

Wzmiankowane „Collegium“ — to jest założone w gronie bliskich przyjaciół *Kolegium księcia Wali*. Miejsce zebrań była najczęściej restauracja Norkowskiego. Patron — książe Wali (późniejszy Edward VII) miał opinię demokracji i postępowca.

List 2-gi

„Impreza“ — odnosi się do wymienionego u Korbuta utworu Dygasińskiego pt. *Opis imprezy wojennej I.M.P. Alberta Mucierogo* odbito w Krakowie w 25 egzemplarzach 1894 r. „Antoni“ figurujący w tym liście to Sygietyński, znany krytyk i literat.

List 3-ci

Wymieniony „Pompił“ to zapewne żartobliwy przydomek Lilpopy, członka *Kolegium księcia Wali*. Frywolność proponowanego medalu — wskazywałaby na jakieś donjuanskie zakusy mającego być uhonorowanym. Ale to tylko przypuszczenie. Realia dotyczące usadowienia w Młynowie dr. Z. Wisłockiego — żywo przywołują na myśl Żeromskiego Cisy i Obrzydłówki, które zaszczycał lekarz z większego miasta i stał się lekarzem prowincjonalnym.

Ciekawa jest w tym liście wzmianka o *Asie* pisanym z myślą o *Kurierz* *Warszawskim*.

„Honor“ wspomniany w tym liście to, zdaje się, Lilpopy, o którym już była mowa, co prawda w innym przybraniu pseudonimowym.

List 4-ty

List ten świadczy o troskliwości przyjacielskiej Dygasińskiego, dokładnie bowiem podaje trasę, którą ma przybyć dr. Z. Wisłocki z Warszawy do Młynowa. Ta wędrowka była cokolwiek staroswiecka, np. kurs „szarabanem“ czyli „karabonem“.

List 5-ty

Szczegóły wyjaśnione w przytoczonym wyżej komentarzu p. Wandy Peszkowej.

*Sfotografowany autograf* Dygasińskiego — pkwitowanie odbioru egzemplarza „Imprezy“ — znajduje się, podobnie jak listy, w papierach zostających po doktorze Peszkem.

W posiadaniu p. Wandy Peszkowej jest jedno jeszcze pismo, bez daty i podpisu, lecz prawie na pewno ręki Dygasińskiego. Było ono przysła ne doktorowi Peszkemu, który z powodu choroby nie mógł uczestniczyć w zebraniu. Określenie „bodzantynscy przebywacze“ przemawia za tym, że autograf ten jest późniejszy niż „Impreza“.

„Jesz Waszność Pan zawždy chęio gą pieczę miał o zdrowie naszych, nasze sily własnym zachodem mnozył i przychędował, zle humory od nas odsuwał, a nienała rozkosz towarzystwem swoim nam dawał — dziś zaś się złym trefunkiem w szwank sam popadł, tak że nadobne potraweczki smaku swego dla nas nie maja, wino nie w głowie, jedno w nogi wdy wla zi; ergo cocives tu!, my bodzantynscy przebywacze, żywo i głęboko, mizerya Wasz. Pana ruszeni, przybrawszy sobie konsula swego na przodek, nie składamy konsolacje, oświadcza jąc W. Panu, jako połączeni sławetni cechowi bodzantynscy, wczora w gro madzie biesiadnicy obradowali nad niedznym staniczkiem Twoim, czyniąc przytem uroczyste bogomodłstwo gwoli Przemienienia (sic!) pańskiego w tym tak spornym przypadku i przywrócenia zaśię do nędznego zdrowiecka miłego nam brata. Wierę, oby Wszchemogaczy Stwórca by narychłej i naraźniej ku pocieszeniu na szemu sprawił powrócenie osobnej Persony Waszności Pana brata w to chędogie Kolegium nasze!“

Michał NOWACKI

# Kraj kontrastów

VENEZUELA jest najbogatszym i najważniejszym krajem wśród mniejszych państw Ameryki łacińskiej. Obejmując przeważającą część północnego wybrzeża Ameryki Południowej stanowi ona pierwszorzędną pozycję w basenie Morza Karaibskiego, które Stany Zjednoczone, od czasów prezydentury Teodora Roosevelta, starały się przekształcić na *mare nostrum*, w wewnętrzne morze amerykańskie.

W walce o realizację tego celu Stany Zjednoczone dążyły nie tylko do wyeliminowania Hiszpanii, Francji i Wielkiej Brytanii z ich starych, bogatych posiadłości kolonialnych w tym rejonie (Kuba, Guyana, San Domingo, Martynika itd.), lecz również prowadziły konsekwentną akcję przezwyciężania konkurencji gospodarczo-finansowej Niemiec a zwłaszcza Wielkiej Brytanii w tamtejszych nominalnie niepodległych państwach i narzucanie im swych wyłącznych wpływów politycznych. Do specjalnego zainteresowania się Venezuelą skłaniały zresztą Stany Zjednoczone niecierpliwie bogactwa kopalniane tego kraju.

Venezuela, której powierzchnia wynosi milion km<sup>2</sup>, liczy około 5 milionów mieszkańców. Jest ona drugim na świecie producentem ropy, a zajmuje pierwsze miejsce w eksporcie ropy. Zbadane dotychczas pokłady rudy żelaznej obliczane są na co najmniej milion ton. Posiada ona bardzo bogate złoża manganu, bauxytów i diamentów. Ostatnio wreszcie odkryto w delinie rzeki Orinoco pokłady uranu, tego niezmiernie cennego metalu, który nabrał specjalnie dużego znaczenia w związku z produkcją energii atomowej.

Konkurencja amerykańsko-angielska o wpływy gospodarcze i polityczne w kraju przedstawiającym tak łakomy kąsek trwała dziesiątki lat. Stopniowo kapitał amerykański brał górę, wysunął się zdecydowanie na pierwsze miejsce w czasie pierwszej wojny światowej. Ostoją pozycji brytyjskich były jednak jeszcze rządy gen. Gomeza, zwanego patriarchą dyktatorów, który przez wiele dziesięcioleci lat panował wszechwładnie nad swym krajem w oparciu o klikę militarną.

Podczas drugiej wojny światowej kraje Ameryki Łacińskiej, w tym i Venezuela, ograniczone w możności importu z zewnątrz, przystąpiły do rozbudowy własnego przemysłu przetwórczego. Wzmocniło to pozycję burżuazji narodowej, która podjęła walkę o zapewnienie sobie wpływów politycznych, występując zdecydowanie przeciwko dotychczasowej dyktaturze wojskowej. Jednocześnie wojna z obozem faszystowskim mobilizowała szerokie rzesze ludności do walki o prawa i swobody demokratyczne.

Rząd waszyngtoński postanowił w korzystać te tendencje i ruchy dla obalenia probrytyjskich rządów dyktatorskich. W 1945 r. przywrócono ustroj konstytucyjny, a władza przeszła w ręce popieranej przez Amerykanów burżuazji narodowej. Wznajęca aktywność mas ludowych spowodowała, że w wyborach parlamentarnych 1947 roku, większość uzyskały partie radykalne, które wysunęły program reform wewnętrznych i obrony interesów narodowych przed eksploatacją monopolu światowych.

Stany Zjednoczone zareagowały na to inscenizując zamach stanu, który obalił 24 listopada 1948 r. rządy prezydenta Gallegosa. Władze objęły czynnieki feudalno-burżuazyjne, które obronę interesów warstw posiadających oparły na reżimie terrorku wewnętrznego skierowanego przeciwko wszystkim elementom postępowym i narodowym, a zwłaszcza przeciwko rewindykacjom klasy robotniczej. Utrzymano nominalnie rządy konstytucyjne, lecz w prakty-

ce istniejący od tego czasu ustrój jest tylko nową odmianą dyktatury militarnej.

Rząd ten jest powolną marionetką w rękach imperialistów amerykańskich. Występuje się on dyrektywom płynącym z Waszyngtonu, i to zarówno na arenie wewnętrznej, jak i międzynarodowej, głosząc politykę skrajnie antykomunistyczną i antyradziecką. Swymi prowokacjami w stosunku do personelu ambasady ZSRR w Caracas doprowadził on w czerwcu 1952 r. do zerwania stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim, a na terenie Organizacji Narodów Zjednoczonych jest najbardziej usłużną agenturą bloku amerykańskiego.

W życiu gospodarczym absolutnie górujące miejsce zajmuje przemysł naftowy. Wystarczy powiedzieć, że wywóz ropy stanowi 94% całości eksportu wenezuelskiego, a budżet kraju oparty jest w głównej mierze na wpływach przedsiębiorstw naftowych.

Wśród nich czołowe stanowisko zajmuje Creole Petroleum Corporation będąca filią Rockefellerowskiego trustu Standard Oil of New Jersey. Produkuje ona 68% całości wydobycia ropy. Pozostały procent przypada na Shell Caribbean Petroleum Company, reprezentującą brytyjski kapitał Royal Dutch Shell.

Od czasu zapoczątkowanego przez wypadki w Iranie masowego ruchu narodowego na Bliskim i Środkowym Wschodzie, domagającego się nacjonalizacji zagranicznych sukcesji naftowych, oba wielkie przedsiębiorstwa naftowe w Venezueli postanowiły jeszcze bardziej rozbudować wydobycie ropy, które już dziś wynosi 1.800.000 baryłek dziennie. Przygniatająca większość nowych inwestycji, mających umożliwić zwiększoną produkcję ropy w Venezueli, przypada na kapitał amerykański. Zainwestował on w przemysie naftowym ponad 2 miliardy dolarów.

Poza naftą monopolistę amerykańską mają w Venezueli w swych rękach aparat bankowy, sieć komunikacyjną, telefony, przemysł tytoniowy i częściowo spożywczy. Ostatnio położyli rękę na pokładach uranu i przystąpili do eksploatacji złóż rudy żelaznej. „Orinoco Mining Company“, będąca filią „United States Steel“ oraz „Iron Mining“, stworzone przez znany trust amerykański „Bethlehem Steel Corporation“, uzyskały od usłużnego rządu Venezueli, wprost za bezcen, koncesje na wydobywanie rudy żelaznej, która wywożona jest do przeróbki w Stanach Zjednoczonych. Miarą ogromnych inwestycji amerykańskich w Venezueli jest fakt, że stanowią one 31,69% całego wywozu kapitałów amerykańskich w ostatnich latach, a przeszło 50% sum wydatkowanych dla krajów Ameryki Łacińskiej.

Daje to asumpt propagandzie amerykańskiej do apoteozowania „działa amerykańskiego“ w Venezueli, które rzekomo dokonało „cudownego przekształcenia“ zaccfanego kraju w jeden z najbardziej postępowych i technicznie rozwiniętych na całym świecie. Są to typowo oszukiwacze frazesy, gdyż zyski z tej jednostronnej industrializacji kraju ciągną wyłącznie obcy kapitał, podczas gdy ludność Venezueli cierpi w swej ogromnej większości skrajną nędzę. Rabunkowa, nie licząca się z interesami kraju gospodarka monopolistów amerykańskich doprowadziła do całkowitego upadku rolnictwa, które jest źródłem dostarczania środków utrzymania dla olbrzymiej większości mieszkańców.

Koło 50% ziemi uprawnej znajduje się w rękach małej garstki feudalnych obszarników, prowadzących

gospodarkę ekstensywną, a ponad 11 milionów ha posiadają zagraniczne koncesje przemysłowe, które świadomie nie troszczą się o wzmocnienie produkcji rolnej. W rezultacie kraj musi importować 2/3 konsumowanych środków aprowizacyjnych, płacąc bardzo wysokie ceny eksporturom amerykańskim. Wśród chłopów Venezueli panuje chroniczny głód.

Jednym z atutów gloryfikowania gospodarki amerykańskiej w Venezueli jest podnoszenie wysokich płac robotników naftowych i budowlanych. Rzeczywiście, górne warstwy wysoko wykwalifikowanych robotników, pracujących w przedsiębiorstwach amerykańskich, są znacznie lepiej płatne niż ich towarzysze w innych krajach Ameryki łacińskiej, nie dotyczy to natomiast ogromnej masy robotników niewykwalifikowanych, a poza tym wyższe płace neutralizowane są przez większą niż gdzie indziej drożyznę życia, spowodowaną wspomnianymi, nieproporcjonalnie wysokimi cenami na importowane towary konsumpcyjne.

To celowe faworyzowanie przez koncesjonariuszów zagranicznych arystokracji robotniczej ma na celu neutralizowanie i pozyskiwanie sobie części narastającego w Venezueli, jak i w innych krajach Ameryki łacińskiej, ruchu narodowo-wyzwoleńczego. Trwająca od 5 lat dyktatura amerykańska mogłaby być obalona tylko w wyniku powstania frontu narodowo-demokratycznego, jak to głosi tamtejsza Partia Komunistyczna. Jednakże reformistyczne kierownictwo Partii „Action Democratica“, grupującej dużą część lepiej usytuowanych robotników, odmawia systematycznie jednoci działania klasy robotniczej i mas pracujących. Kierownictwo tej Partii wysługuje się monopolistom amerykańskim i służy im jako rezerwa na wypadek, gdyby nie udało się utrzymać dotychczasowych rządów dyktatorskich. Dlatego przywódca „Action Democratica“ Romulo Betancourt opiera się postulatom odwoływania się do szerokiej mas ludności.

Podczas ostatnich wyborów parlamentarnych w listopadzie 1952 r. Partia Komunistyczna wystąpiła z programem stworzenia jednolitego bloku wszystkich partii opozycyjnych dla obalenia dyktatury, przeprowadzenia powszechnych wolnych wyborów, uzyskania amnestii dla więzionych działaczy politycznych oraz sformowania rządu z udziałem wszystkich sił demokratycznych, który by prowadził politykę antyimperialistyczną i antyfeudalną. Kierownictwo „Action Democratica“ sparaliżowało swymi manewrami tę akcję, a gdy w wyborach przeważająca większość ludności wypowiedziała się przeciwko dyktaturze, umożliwiła marionetkom amerykańskim obalenie wyników głosowania za pomocą zamachu stanu pułkownika Jimenesa, który objął prezydenturę, usuwając z parlamentu wszystkich posłów postępowych.

Pomimo brutalnego terrorku politycznego, więzienia większości działaczy demokratycznych i podstępnych machinacji agentury amerykańskiej w ruchu robotniczym, walka mas ludowych o wolność i niezależność narodową trwa nadal. Świadczą o tym potężne strajki, którymi świat pracy odpowiada na każdą nową ofensywę reakcyjnego rządu oraz popieranie ich przez postępową inteligencję a zwłaszcza przez młodzież uniwersytecką. Czołowe hasło obzu antyimperialistycznego nacjonalizacji koncesji zagranicznych, w szczególności przemysłu naftowego, pociąga za sobą coraz szersze rzesze nawet członków „Action Democratica“, oszukiwanych przez jej proamerykańskie kierownictwo.

Antoni LUBKOWSKI

# »Polacy nie gęsi« w Krakowie\*)

AUTOR utworu o tematyce historycznej ma zadanie łatwiejsze niż twórca innego dzieła, ale zrazem i — trudniejsze. Łatwiejsze — bo rzeczywistość minioną sama podsuwa mu temat. Trudniejsze — bo ta sama rzeczywistość jednocześnie jego temat determinuje. Trudniejsze — bo mniejszą rolę odgrywa w jego utworze element fabuły. Bo odpada moment „ciekawości” odbiorcy, którego autor musi zdobyć sobie innymi elementami literackiego dzieła.

Jest więc rzeczą zrozumiałą, że zamiarem autora komedii „Polacy nie gęsi” było przede wszystkim stworzenie „wizji poetyckiej epoki polskiego renesansu” (L. H. Morstin: „Kilka wspomnień z mojej pracy w teatrze”). Z tego też punktu widzenia oceniać musimy jego dzieło.

Okresu, który jest tłem komedii „Polacy nie gęsi”, nie można by nazwać najszerszym nurtem polskiego odrodzenia. Dopiero z dworem królowej Bony i z powracającymi do ojczyzny polskimi studentami zagranicznych uniwersytetów wkracza do Polski renesans i niemiecka reformacja. Z krakowskich oficyn drukarskich wyszło hasło obrony języka polskiego przed zalewem obcej literatury. Był to okres wielkich przemian w życiu kulturalnym naszego kraju i — jak każdy okres tego rodzaju — obfitujący w konflikty. L. H. Morstin dostrzegł i zarysował w swej komedii trzy takie istotne konflikty. Są nimi: niezrozumienie Reya, jako poety postępowego, przez miejscową szlachtę; całkowita niemożność porozumienia się między kosmopolitycznym humanizmem, reprezentowanym w komedii przez Erazma Otwinowskiego, a Reym — poetą narodowym; wreszcie zacięta walka Reya-kalwina z kłosem katolickim.

Ale podtytuł sztuki brzmi: „komedia”. I „Polacy nie gęsi” oscylują między „wizją polskiego renesansu” a komedią obyczajową z tego okresu. Komediowość sztuki podkreśla kilka świetnych postaci, potraktowanych niekiedy może zbyt „pieprzno” nawet na staropolszczyznę, jak Kasztelanowa Gnojeńska, ale też i klasycznie niemal doskonałych, jak Pan Rudomina. Łamią ją natomiast pewne dłuższy niekiedy fragmenty, szczególnie nadmiar dyskusji w II i III akcie. Jednakże przy podanym w odautorskim credo założeniu, dyskusje te stają się niezbędnymi przekazaniami poetyckiej wizji. Nawet największe zastrzeżenia budzący dialog Reya z Otwinowskim charakteryzuje przecież świetnie tych obu — jakże od siebie odległych poglądami, a typowych dla pewnych grup społecznych — przyjaciół.

Wcale też nie komediowa, a poza tym niezbyt zgodna ze swym wzorem jest postać bohatera sztuki — Mikołaja Reya z Nagłowic. Autor zastrzegł się wprawdzie, że nie ma to być ten znany nam Rey — rubaszny szlachan, autor „Żywotu człowieka poczciwego”. że celem jego jest ukazanie młodego, kiełkującego poety, zagorzałego reformatora tak społecznego, jak i religijnego, w którego umyśle dojrzewa „Krótka rozprawa między panem, wójtem a plebanem”. Wydaje nam się jednak, że młody Rey bliższy był chyba uprawianemu w dzieciństwie wiazaniu strzpeków kitajki do wronich ogonów niż uczonemu dysputom podczas wesołej zabawy. Wydaje się nam, że najbardziej Reyowski jest może ten pan Mikołaj z Topoli, biezły, choć nie zawsze cenzuralny „rymarz” prowa-

dzący tańce na przyjęciu u Pana Miecznika.

Trzydzieści dwa lata temu, po premierze „Zemsty” w tymże teatrze im. Słowackiego, pisał Boy o odtwór-



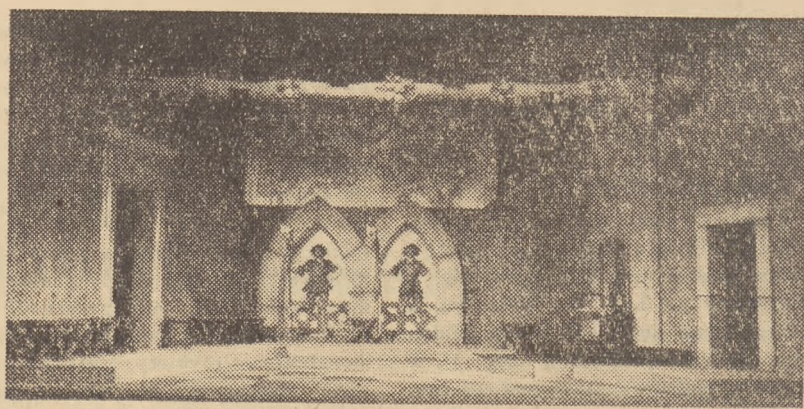
Henryk Bąk w roli Mikolaja Reya

cy roli Wacława: „w p. Niewiarowiczu — wczorajszym debiutancie — można od pierwszego występu powitać obiecującą siłę”. Czas potwierdził opinię wielkiego krytyka: talent dotrzymał obietnicy. Roman Niewiarowicz — od dawna już, niestety, nie widziany na scenie — daje nam co

parę miesięcy perełkę reżyserskiej sztuki.

Po „Krukach” Becque'a — jakże odległym stylem i epoką „Polacy nie gęsi” Morstina! Znakomity reżyser dostrzegł charakterystyczną cechę tej sztuki — przewagę humoru słownego nad sytuacyjnym. I opracowując ją wydołał komizem każdej — choćby najdrobniejszej — postaci. Tym sposobem osiągnął swój cel. Sprawił, że Morstinowska komedia trafia do odbiorcy nie tylko dzięki walorom literackim, ale także poprzez swą stronę wizualną. Każdy statysta został zindywidualizowany, każdy dostał swoją — choćby maleńką — rolę. Salwy śmiechu publiczności budzą zastrachane gąski — panny Sansygniewskie — czy nieporozumienia rodzinne między młodymi panami Trzebińskimi. Nadmierną dyskusyjność aktu II łagodzi świetna pantomima wstępna — wykradzenie dzbanu piwa śpiącemu Panu Rudominie przez gromadę dziewcząt z chóru. Każdy ruch, każde — choćby pozornie przypadkowe — zgrupowanie postaci podporządkowane jest głęboko przemyślanej koncepcji reżyserskiej.

O jeden tylko fragment można by się sprzezać. Jest nim zakończenie sztuki, może nieco za słodkie w swym liryzmie. Poetyczny symbol lutni na tronie nie łatwo trafia do — rozbawionej humorystycznie po-

Sala na zamku w Proszowicach. Akt III  
Zdjęcia Feliks Nowicki

traktowanym widowiskiem — wyobraźni widza. Ale ten zarzut jest tylko grymaszeniem szukającego dziury w całym recenzenta i nie umniejsza naszego przekonania, że obecne przedstawienie „Polacy nie gęsi” jest doskonałym osiągnięciem reżyserskim krakowskich teatrów.

Dawno też nie widzieliśmy na naszych scenach równie doskonale dobranej zespołu aktorów. Wybijają się ponad ogólny poziom: Helena Chaniecka w roli Kasztelanowej Gnojeńskiej, Ewa Stojowska w roli Pani Pileckiej i Tadeusz Białkowski w roli Pana Rudominy. Te trzy interpretacje w pełni zasługują na miano kreacji aktorskich. Ponadto Maria Bogurska (Bona) i Anna Lutosławska (Panna Zofija Rożnowna) wydołyły ze swych mało efektownych a wcale niełatwych ról maksimum ich możliwości.

Odtwórca postaci Mikołaja Reya — Henryk Bąk — potraktował swą rolę w sposób niewątpliwie ciekawy i nieszablonowy. Nawet jeśli chcieli-

byśmy kwestionować jego koncepcję — to jednak trzeba oddać artyście sprawiedliwość: koncepcja ta jest zgodna z założeniem autora.

Muzykę do sztuki napisał wybitny kompozytor, wielki znawca problemów chóralnych — Stanisław Wiechowicz. Jest ona piękna, świetnie archaizowana i prawdziwie ludowa.

O kostiumach i dekoracjach Bolesława Kamykowskiego można powiedzieć tylko: non plus ultra. Trudno byłoby wyobrazić sobie lepsze. Te proste a efektowne dekoracje są znakomitym tłem dla akcji komediowej, kostiumy są zróżnicowane i bogate, a poza tym — przede wszystkim kobiece — jakby wycięte z Matejkowskich obrazów.

Wydaje się nam, że wystawienie przez krakowski teatr im. Słowackiego sztuki L. H. Morstina „Polacy nie gęsi” w reżyserii R. Niewiarowicza z oprawą sceniczną B. Kamykowskiego należy uznać za najwyższe osiągnięcie krakowskich teatrów dramatycznych w ubiegłym sezonie.

## U Dolnośląskiej Melpomeny

PO zawzięcie nieustępliwym werowaniu komedii Bałuckiego czemś w cieniu magazyńców *Ossolineum* — spotkanie z tym autorem na scenie w jego staroświeckim *Klubie kawalerów* było odświeżające, jak szelst i chłód wodotrysku towarzyszący dumanom w dni upalne na jakiejś ustronnej ławce parkowej pod rozłożystymi drzewami. Bałuckiego trudno się czyta, bo mało w nim powabu, który jest owocem mozoła, dużo natomiast powtarzania się, naiwności rzekomo przebiegłych, rozważań poronionych i w ogóle ryczałtowego niedbalstwa w zakresie tego, co się zowie „sztuką pisarską”. A jednak... jednak ten stary Bałucki w świetle ramy nabiera rumieńców, porusza się dzielnie, sygnalizuje, układa sytuacje tak zabawne, że rozbija publiczność i wciąga ją w krąg swoich czarów. Te czary są emanacją sceniczności, bo przecież niejedną już krytykę zauważył, że sztuki Bałuckiego bez aktorów, bez certyfikacji scenicznej, bez widzów teatralnych — tyle akurat znaczą, co partytura bez orkiestry i śpiewaków, „mówiąc bez ogródek (przytaczamy tu zdanie jednego ze szczytów miłośników komedii pisarza) poza nielicznymi wyjątkami nie dadzą się czytać”. Przy oglądaniu za to, im bardziej oddalamy się od tamtych czasów, zyskują na wabiku i to tak dalece, że powściągliwy Boy zaryzykował powiedzenie: „dostrzegamy to, czego współcześni z trudnością mogliby się w nim dopatrzeć: promyk poezji”.

Ongś Osterwa w Redutowym przedstawieniu *Domu otwartego* swą pielęgnacją reżyserską i benedyktyńskim opracowaniem tekstu przez zespół wydzielił mnóstwo tych „promyków poezji”. Doskonale mierne zacisze mieszczańskie — ekscytowane jedynie trzema kanarkami i uporcejnym ćwiczeniem wprawek fortepianowych przez pannę na wydaniu, w której potulny konkurent budzi przekorna zachciankę szumu światowego, później po całym mieszkaniu rozlega fala sproszonych gości, co po odpłynięciu zostawia jako *frutti di mare*: złośliwa pleśń, obmowa i cierpki nie smak, wreszcie znowu — kanarek i wprawki, fortepianowe na cztery ręce z potulnym konkurentem — uboższą wiatku zgrzebnie szara, lecz w grze aktorów, w ich delikatnym stylizowaniu przedziergnięta autentyczna poezja. Realizm z patyna, stylizacja, Balucezyzna, górze w skąpej perspektywie z okna mieszczańskich kamienic widniała bogobojna drzemka krakowskich radców, pań dobroczynnych i emerytów. Kraków Ciapukiewiczów, Wygodnickich, Wistowskich, Pagatowiczów, Motylińskich,

Piorunowiczów oraz dam tego pokroju, co Ochotnicka, Dziurdziulińska, Frazesowiczowa. Kraków drzemki patriarchalnej, która dawała sens na okazje do przymknięcia oczu na wiele sprawek o niemylnej wykładzie moralnym. Kraków nie tyle ze starych szychów, ile ze starych karykatur. Bywa i w tym wszakże poezja!

K. Bartoszewicz pod koniec ubiegłego stulecia, bo w 1894 r., wystawił Bałuckiemu na szpaltach *Kraju* świadectwo niejakiemu heroizmowi zasad przynajmniej w młodości, następnie bowiem utemperowanego... doświadczeniem i „zdrowym rozsądkiem obserwatora”. Niebardzo zgodni z tą aprobatą „doświadczenia” i „zdrowego rozsądku”, które raczej sygnalizowały kapitulację niż roztopnienie, nie możemy jednak, niestety, przytwierdzić orzeczeniu Piotra Chmielowskiego na temat ostrej rzekomo kontrowersji między Tarnowskim, Szujskim i Bałuckim: „Bałucki, nie podziwiający ich przekonań, znaleźć się musiał po stronie ich przeciwników”. Zdaje się nam, że „zdrowy rozsadek obserwatora” usposabiał o wiele skutecznie do kompromisu niż do walki, a pierwotny rozmach postępowo-demokratyczny nie rozszerzył się nadmiernie z dziedzin teorii na praktykę. Dlatego Chmielowski niepospiesz wkrótce z zastrzeżeniem: „Rzeczy bardziej drażliwych nie poruszał wcale albo tylko mimochodem”. Jako tłumacz Heinego, jako autor szkiców satyrycznych, drukowanych w *Tygodniku Ilustrowanym* (1864) pod ogólnym tytułem *Scherzo*, jako twórca poematu *Bez chęci* — miał niewątpliwie Bałucki zaprawę na satyrę. Interesowała go, sam to powiada, „sprawiedliwość nurtująca na dnie czynów ludzkich”. Po ustaleniu się wszakże na odpowiedni dającej mu poczucie „truwera mieszczańskości” wielu, bardzo wielu zjawiskom sprzecznym z ową sprawiedliwą wosią — nie odmówił pobłażliwej oceny zilustrowanej w jego komediach szerokim śmiechem. W tym charakterze wesoła wszedł na karty historii literatury. „Jak Bliziński święte szlachetki, nisz Aleksander Brückner w drugim tomie swych *Dzieliw literatury polskiej w zarysie*, tak on maluje mieszczańską, szcze gólnie krakowską... że się od śmiechu trzęsiemy”. Wydawca *Grubych ryb* w przedwójnej jeszcze *Bibliotece Narodowej*, zestawiający drapieżność i wigor mieszczaństwa francuskiego z „krowodem lekarzy, urzędników, radców, archiwistów itp.” u Bałuckiego, zamyka rzecz konkluzją, że „przedstawiają się mizernie, pod każdym względem ubogie” i, że „sztywne, monotone blazony tego zbiorowiska raz i tym więcej, że współcześnie nie wszy-

tko było tak wesołe i śmieszne”. To nie jest Kraków ubiczowany w *Nowych Atenach* Nowoczyńskiego, to nie jest mieszczaństwo, które „opato wala” Zapolska, ani to, w którym rozwichrzyła się „gwiazda spadająca”, szalona Julka, Jana Augusta Kilsiewskiego. Od tych oraz innych szaleństw niewieści Bałucki trwożył wie się odzwał w *Emancypowanych* i w *Sprawie kobiet*. On, obserwator rozsądny, rozmiłowany w patriarchalnym *status quo* nie ścierpił Ibsenów i Strindbergów, którzy wyszukują „na gwałt wszelkich potworności”.

Wśród licznych komedii Bałuckiego z reguły nieprzeznaczonych ludzkiem umyśle czy psychologią — *Klub kawalerów* należy bezwarunkowo do najbardziej intelektualnie odciażonych i najmniej psychologicznych. Krotkochwila, farsa, kolowrót przypadków, a punkt rozkrecenia tej przedzabawnej karuzeli tak blachy, że zdziwiałby się nawet sam Wiktor Sardou. Szczęśliwie zaprzysięgłym kawalerem (nawiasem mówiąc starym, lub statecznie dojrzłym z wyjątkiem świeżo dokooptowanego młokosa, który sobie opalił skrzydełka w niefortunnym chwilo-wy zaliczeniu), otóż tej kolekcji sybarytańskich dziwaków na daje rytm i koncentryczny obrót młoda, pikantna „słomiana wdówka”. Dalszy ciąg wiadomy... choćby z *Fredericków Dam i huzarów*. Troja (zatwardziały kawalerów) upadła, a Numa wyszła za Pompiliusza (młody Władysław Topolnicki rozwiewa uprzedzenie narzeczonej, słomiana wdówka wraca do męża). Widownia przerywa tę historię hucznymi oklaskami, które często zaskakują aktorów w połowie frazy, w jakimś ułamku niedokończonego gestu. Niewiele pomaga poważny komentarz programu teatralnego: „Iżniejszym rodzajem komedii nawiązujących jednak do tych samych spraw (tzn. społecznych i politycznych) jest *Klub kawalerów*, w którym Bałucki jeszcze raz skarykaturował to zagadnienie, ukazując w jaskrawej parodii całą niedorzeczność takiej klubomanii”. Ta „parodia klubomanii” odrywa jakoś nasze myśli od Bałuckiego i każe wsłuchiwać się w trąbkę pocztynioną z owe go dyliżansu, którym niezapomniany pan Pickwick objeżdżał gościńce starej Anglii. Gdy się ogląda *Klub kawalerów* na scenie wrocławskiej, balast komentarzki szybko się odłącza i „balon śmiechu” mknie w górę. Śmiech łączy ludzi, śmiech ma znaczenie społeczne. Ten jeden problem rozwiązał stary Bałucki bezbłędnie.

Jako komediopisarz rzucił za to mnóstwo problemów do rozstrzygnięcia reżyserom i aktorom. Reżyserem przedstawienia wrocławskiego był

Janusz Obidowicz. Tak chciał przypadek, że reżyseria jego poszła na wskazywanie Jana Lorentowicza umieszczonej na czele „komentarza programowego”: „Dzieła się z nimi (tj. z komediami Bałuckiego) istotnie dziwi! Z roku na rok klasycyzacja”. Otóż reżyserii Janusza Obidowicza można przyznać rozmach farsowy, temperament, ruchliwość, gwałtowne spięcia sytuacji nieprawdopodobnych, energię dialogu, jaskrawość mimiki — wszystko prócz klasycyzacji. Powiem, że z tej reżyserkiej zawiadomości wionie bezce-remonialność wobec sześćdziesięciu dwóch lat *Klubu kawalerów*! Przy swoim impetie (kinetyka postaci: choćby ów wyborny Nieśmiałowicz w zadzierzwytej poście z kelnerka, albo końcowa defilada z bukietami) ujawnił reżyser znaczny niedostatek jedno litery deezji. Wrocławski *Klub kawalerów* wystąpił pod znakiem pluralizmu stylów. Każdy akt inny. Pierwszy — to komedia realistyczna, przypryszona archaizacją, coś jakby *Dom otwarty* w ujęciu Osterwy. W drugim akcie realizm cofa się pod naporem farsy coraz bardziej licytującej się w nieprawdopodobieństwach. Wreszcie w akcie trzecim triumfuje karykatura tworząca niemal fantazyjną oprawę dla efektownych poczynań „słomianej wdówki”.

Dodajmy, że do komedii wlewa się wodewil w mitych piosenkach Witolda Zechentera i w zharmonizowanych z epoką melodiiach Mariana Radzika, a wielorakość stylów reżyserii zarzuca się przed nami jako podstawowa cecha spektaklu. Mimo wszystko, mimo całej kultury Zechentera i Radzika, lepiej było odseparować ich od Bałuckiego. To inny wymiar. Aktorzy dramatyczni, przyswajający do sensu i wagi charakterów oraz sytuacji (nawet u Bałuckiego), czuli się nieważącymi w dosyć bezsensownych i lekceważących logikę charakterów i sytuacji intermedialnych wodewilowo-operetkowych.

Dlatego należało się wyrazić uznania (może i zarazem współczucia) Zofii Komorowskiej w roli Jadwigi Ochotnickiej, Łucji Burzyńskiej w roli Maryni, Stanisławowi Janowskiemu w roli Wygodnickiego, Zenonowi Burzyńskiemu w roli Nieśmiałowskiego oraz Bernardowi Michalskiemu w roli Topolnickiego, że zwyczajnie przebili się przez wszystkie komplikacje reżyserii, zachowując w zalewie bębnych pierwiastków jaką taką plastyczność figury komediowych.

Tak, proszę państwa, Bałucki po tej pokazowej lekcji wrocławskiej powinien zastanowić jako aktualny problem stylu reżyserii i gry aktorskiej. Jag

\*) Zamieszczamy recenzję inscenizacji krakowskiej, która wydate nam się ciekawsza od przedstawiania tej samej sztuki w Warszawie. „Polacy nie gęsi” ulegli znacznym zmianom autorskim w toku współpracy z reżyserem, Romanem Niewiarowiczem.

# ZMIERZCH CZY OBIETNICE?

nymi postaciami i dławiąca pesymizm mem filozofia — są symptomem rozkładu, stanowią niewątpliwie wytwór rozpadającej się kultury. Szczególnie wrogą i szkodliwą rolę wywiera ta literatura na młodzież, której odebrała wiarę w życie, pozbawiając ją wszelkiego sensu. Dla tego wszystko, co zdrowe, odcina się od niej szukając źródeł natchnienia w wielkiej tradycji realistycznej i w jasnej myśli filozofów, a nie w patologicznych dowodzeniach pesymistów.

Oto, co mówi Antoni Roquentin, jedno z mediów sartrowskich ontologicznych rozważań o świecie:

„Świat jest lepki i lgnie do myśli i spojrzem, jak ciasto do rąk — jest nadmiarem, dlatego mdli i budzi odrazę. Człowiek jest głęboko przewrotny w swych intencjach i czynach. Jest zły. Wszyscy karmimy się wzajemną nienawiścią — chronimy przed sobą system kłamstw, żyjemy pod presją podejrzeń i nieufności“. Skazani przez absurdalny mechanizm istnienia — jesteśmy odgradzeni od siebie tragicznymi przestrzeniami samotności, równocześnie poddawani najwymyślniejszej torturze: nieustannej kontroli cudzych oczu. Jedynym, czym możemy znaczyć i przetrwać, możemy się zbawiać — to działalność, działalność, jakakolwiek, chociażby bezcelowa i tęcząca się w pustce. Tylko przez czyn możemy naprawdę zacząć istnieć, stać się faktem w oczach innych i we własnej świadomości: „Chcę być człowiekiem skądś, człowiekiem między ludźmi, chcę naciągnąć mia to na siłę, zawinąć się w nie jak w kołdra. O, gdybyż istniał czyn, który by mi dał prawo pobytu między ludźmi, gdybym mógł zagarnąć, choćby przez zbrodnię, ich pamięć, ich lek i nadzieję — nawet gdy bym musiał zabić własną matkę“ — wola Orestes, bohater sartrowskich „Much“.

Protestując przeciw wszystkiemu i nie ukazując nic poza formami pustki, egzystencjalizm sprowadził człowieka współczesnego na jakieś dna — powiedział o kresów, za którymi jest już tylko monotonne piekło psychologizowania. Propozycji wyroku na taką literaturę nie podobna uniknąć: zmierzch. Bo integralna negacja, obraz świata bez perspektyw na jakąkolwiek zmianę, albo przypisywanie dwuznacznej wartości iluzji — są równie zbędne, jak wiara w niewiarę. Może dlatego ten sprzecznym z katolicyzmem kierunek ociera się niejako poprzez nurtujący go niepokój sumienia i poprzez nienasycone konkretem o problemat Boga. Z tych perspektyw zrozumiałe staje się ośnienie, jakie przyniosły pisma Franciszka Kafki, najbardziej decydującego obok Sartre'a ideologa kierunku.

## IV.

DZIEŁU dawno już nie żyjącego pisarza towarzyszyła nienawiść. Zniszczone w dwóch trzecich przez samego autora, skazane na ogień własnym jego życzeniem, wreszcie spalone przez faszystów podczas wielkiego auto-da-fé na Opernplatz w Berlinie było dostępne tylko najbardziej elitarnym kręgom intelektualistów niemieckich. Współczesny renesans Kafki przybiera rozmiary zastanawiające. Mnogość komentarzy i różnorodność interpretacji wzbierają nie tylko we Francji, gdzie go odkryto. Atrakcyjność Kafki dla wyznawców skrajnego pesymizmu można wyjaśnić chyba jako potrzebę intensywnego przeżywania tajemnicy z jednej strony, a niechęcią do odważnego zmierzania się z konkretem i z rzeczywistym światem, próbą ucieczki od jego spraw w kraj iluzji i złudy — z drugiej.

Całe dzieło Kafki jest zamknięte w kręgu pseudoteologicznych problemów. Jego powieści i nowele mają być w zamierzeniu autora próbą zastosowania parabol biblijnej do wy-

kładu swoistych koncepcji religijnych.

Twórca „teologii negatywnej“ buduje z tych przykładów dramat samotności człowieka w kosmosie, z którego usunięto Boga. Wielka metafizyczna trwoga wieje z pism tego wirtuoza przerażenia. Tam, gdzie nie ma Boga — jest rozpacz. Albert Camus w swoim „Micie Syzyfa“ interpretuje jedną ze scen „Zamku“, w której bohater powieści, K., uzyskuje wreszcie połączenie telefoniczne z nieosiągalnym miejscem swego przeznaczenia. W słuchawce budzi się przejmujący, o wysokiej tonacji, nieprzerwany dźwięk niby szum w morskiej muszli. Słychać potem odległe i zmieszane głosy ludzkie i połączenie zostaje nagle przerwane. „A jednak — pisze Camus przeprowadzając później egzegzęzę tej sceny — ów ledwo istniejący strzęp dowodu wystarczy, aby K. mógł trwać nadal w nadziei, że zamek istnieje. I K. będzie karmił swą tęsknotę tym omal śmieszonym dowodem“.

Współczesna sława Kafki, adoracja jego posępnej twórczości — jest wyraźnym przejawem bezwładu ideologicznego niektórych odłamów intelektualistów Zachodu. Nie umiemy uwierzyć w Boga i nie możemy istnieć bez tej wiary, wolą wybrać formę zastępczą, tęsknotę za Jego istnieniem — zadowolają się samym staniem pragnienia. Nie potrafiąc naprawdę wybrać i znużeni tym pragnieniem wyboru pogrążają się w snach. Ale ze snu nie wykwitnie już nic — nawet złuda obietnic.

## V.

BŁĘDEM byłoby sądzić, że literatura egzystencjalistyczna reprezentuje — jeśli nie najważniejszą — to potężną i znaczącą grupę pisarzy. W rzeczywistości jest tworzona przez parę indywidualności, a znaczenie i rozgłos zawdzięcza sile atrakcyjnej ich talentów. Jest oczywiście jednak, że istnieją i powstają liczne kierunki różniące się odcieniami chwytów formalnych czy programów ideologicznych i dalekie od filozofii pesymizmu. Okazało się jednak, że jej zły urok, jak dotąd, przyciąga najmocniej i ci wszyscy nawet, którzy uparcie odgrywają się od egzystencjalizmu, w jakiś sposób ku niemu ciągną, jeśli tylko tendencją ich twórczości jest wyrażanie jakiejś negacji czy smutku życia. Dlatego żałuję, że obecnie we Francji istnieje już 24 odmiany egzystencjalizmu, nie jest pozbawiony pewnej słuszności.

Przykładem jednej z tych odmian może być twórczość Jana Anouilha. Jego dramaty i komedie są omal klasykami dokumentami rozczarowań, jakie przeżywa sprawiedliwy spośród sprzeczności świata degenerującej się burżuazji. Anouilh wprawdzie nie rezygnuje z buntu. Swoim bohaterom nakazuje samotność się nieustannie w sidłach zastawionych przez rozpaczliwe losy, wobec których pozostaje im tylko ów bezskuteczny i historyczny bunt jako jedyna forma walki. Kierunek tego protestu pozornie zwraca się przeciw złemu układowi społecznemu i można by od biedoty interpretować niektóre z dzieł Anouilha jako wyraz potępienia przezeń ustroju dzielącego ludzi na bogatych i biednych. Medea odważona przez Jazona na szczytach gór, do którego Jazon należy „Raso Abła, raso sprawiedliwych, raso bogatych. Jakże spokojne są twoje słowa! To po waszej stronie jest niebo i żandarmi. Jak to wygodnie myśleć tak, jak myśli ojciec i dziadek, jak ci, którzy od wieków są w porządku. Jak to dobrze być dobrym, być szlachetnym, być uczciwym“. Anouilh zdaje się po prostu drwić z moralności mieszczańskiej, ale w swoim szczytowym dziele, „Antygonie“ protestuje przeciw wszelkim formom szczęścia i ów integralny protest przybiera rozmiary absurdu. Słowo „szczęście“ pada jak obelga i dlatego mała księżniczka te-

## Dokończenie ze str. 1

bańska wybierze śmierć, aby tylko nie być dotknięta szczęściem zawsze złym, zawsze karmiącym się nie szczęściem innych.

W komediach, które Anouilh wciąż pisze, powtarza nużące warianty swoich tez o niemoralności szczęścia i o niemożliwości istnienia w złym świecie.

Gorzka wiedza Anouilha jeszcze raz przypomina smutek wielkich moralistów i jeszcze raz dowodzi, jak bardzo ta literatura zagubiona jest w labiryntach, z których wyjście prowadzi tylko poprzez śmierć.

## VI.

CZY może jednak głosić nadzieję twórczość wyrastająca z podłoża niesprawiedliwości społecznej, twórczość, której filozofia odgradza się szczerze od wszelkich zetknięć z prawdą świata? W takich ujęciach tylko właśnie egzystencjalizm mógł kusić propozycjami odmiany, jakąś nieprzejdaną decyzją rozstrzygnięć etycznych. Ale egzystencjalizm spychając na barki człowieka ciężar odpowiedzialności za wszelki czyn i czyniąc go winowajcą generalnym za zło świata, nie ukazuje żadnych perspektyw zbawienia stawia przed człowiekiem zadania nadludzkie. Bo odpowiedzialność za wszystkich i wszystko nie jest do przyjęcia. Taką próbę może zakończyć tylko całkowita klęska. Stąd konsekwencja kultywowania rozpacz, afirmowania nicości. Czy nie pora więc, aby tę reprezentacyjną odmianę literatury zachodniej wytopić w ślepej uliczce, w którą zabrnęła? Pisarze lewicy społecznej odważnie demaskują jej złudne uroki ukazując całą jej słabość i szkodliwość.

„Literaturą grabarzy“ nazwie ją Roger Garaudy, odkrywając przed czytelnikiem antyhumanistyczny sens filozofii Sartre'a, coraz wyraźniej uwsteczniającą się ideologię, jaką wyznaje Mauriac, jawny faszysta za warty w utworach André Malraux. „Egzystencjalizm nie jest humanizmem“ powtarza z naciskiem Jean Kanna, rozprawiając się z bruzdą Sartre'a, w której przywódca kierunku broni swej doktryny jako najlepszej spośród współczesnych.

## VII.

DIALOG toczący się między dwoma ideologami inicjują pisarze spod znaku rewolucji społecznej. To oni właśnie proponują skuteczne rozwiązanie i dają konkretną obietnicę. Właśnie pisarze marksiści głoszą teorię życia aktywnego, zerwania ze snem. Teoretycy kierunku, Roger Garaudy, Jean Kanapa, Pierre Curjade czy Henri Lefebvre propagując swoje tezy w essayach i rozprawach precyzują stanowisko swojej grupy, ukazując dokładny kierunek walki o pełnię praw dla człowieka. Odbiciem tej ideologii w literaturze jest jedna z najświetniejszych poezji współczesnych: — tomy wierszy Ludwika Aragona i zmarłego niedawno Pawła Eluarda, jest coraz ciekawsza twórczość powieściowca Andrzeja Stilla, Aragona, Kedrosa.

Aragon w swej wielotomowej powieści — „Komunistach“ — przeprowadza sąd nad obecną generacją we Francji — sąd nieprzejdany i surowy. Ale równocześnie wyznaczając w swej powieści linię i drogi rozwoju umysłowości tego pokolenia, od dzieł starannie to, co dobre, od złego, ukazuje słuszne i nieuniknione procesy.

Dla Pawła Eluarda wolność jest pojęciem naprawdę bliskim i cennym. Z jaką miłością pisze o niej w sławnym poemacie, który podczas wojny tranamitowany przez radiostacje alianckie działał jak zachęta do przetrwania złego czasu niewoli. Jakież kontrast z pojęciem wolności u

Sartre'a, dla którego to słowo znaczy w końcu tyle, co niewola.

Elsa Triolet czy Jean Laffitte piszą książki wypełnione podziwem dla walki i czynów człowieka budząc w nim nadzieję, że taka walka i takie czyny warte są spełnienia.

Nie przez przypadek ci właśnie pisarze brali udział — jedni z pierwszych — w szeregach ruchu oporu rehabilitując swą bohaterką postawą imię intelektualistów Francji.

## VIII.

O wiele mniej przejrzyste rysuje się obraz literatury katolickiej. Cechują go wyraźne różnice metod artystycznych, sposobów przedstawiania świata i temperamentów pisarskich — tak różne, jak różne są książki Franciszka Mauriac'a od dzieł Antoniego Saint-Exupery'ego. Pisarze katolicki dziedziczą zbyt wiele po wielkiej przeszłości, zbyt są liczni i odmienni, aby można ich rozpatrywać jako określoną grupę twórców. Dwa potężne głosy, które nadawały ton ich literaturze, umilkły, a żaden inny jak dotąd nie umie ich zastąpić. Choć i Jerzy Bernanos i Antoni Saint-Exupery nie żyją, ich myśl przyswieca nadal literaturze katolickiej Francji jak drogowskazy. Słowa „Listu do zakładnika“ powracają w książkach niejednego ze współczesnych. Coroczne nagrody literackie zwracają uwagę właśnie na młodych pisarzy wyznających światopogląd katolicki. Nazwiska Henryka Gueffea i Beatryx Beque, Roberta Morela czy Jana Cayrola pozwalają ufać, że katolicka literatura Francji może rozkwitnąć na nowo — kto wie, czy nie wspanialej niż kiedykolwiek.

## IX.

ALE spory i dialogi o sens świata toczony na terenie literatury przez kogo właściwie są dostarczane? Docierają do cienkich warstw elity intelektualnej, do środowisk pielęgnujących snobizmy, do klerków. Szeroką publiczność, która stanowi przeciętne odbiorcę kultury, niewiele interesują zawile problemy etyczne. Są dla niej albo nudne, albo przerażające. Zadowolają ją i nasyca w zupełności powieści kryminalna. „Zbrodnia oplaca się w literaturze“ stwierdza Franck Jotterdam w jednym z ostatnich (z 21 maja br.) numerów czasopisma „Arts“.

Dziesięć milionów książek sensacyjnych i kryminalnych sprzedano w ostatnich dwóch latach we Francji. Wzrastający zalew literatury amerykańskiej, coraz bardziej brutalnej, oczyszczony nawet z pozorów intelektu, propagującej zwyrodnienia umysłowe, kult przygody, pieniądza i użycia — przybiera rozmiary katastrofalne budząc niepokój u obserwatorów życia umysłowego i krytyków literatury.

## X.

ALE wychyliły się poza granice Francji. Wszędzie spotkamy się z echem jej literatury. Egzystencjalizm przeszczepiony z obcych filozofii, doprowadzony do rozkwitu i zwyrodnienia właśnie we Francji, rozlał się po Europie i zaciążył nad jej piśmiennictwem jak ciemny dym. Niewiele można znaleźć prócz przeciwwstawienia mu innych, bardziej humanistycznych kierunków. W Anglii — obok wpływów francuskich — kontynuują się nadal zle rodzime tradycje: w prozie psychologizm typu Virginii Woolf, w poezji — wyrafinowany, coraz bardziej zimny i coraz mniej komunikatywny intelektualizm w stylu T. S. Eliota. Ostatni utwór sceniczny tego poety „Garden Party“ aż zadziwia wysiłkiem włożonym weni przez autora, aby odjąć utworowi wszelki sens. Pozostało jeszcze jedno dzieło jawne i zbędne — jeszcze jeden dokument zmierzchu.

Na takim tle najciekawiej przedstawia się literatura katolicka — zjawisko nowe w Anglii i coraz popu-

larniejsze. Bruce Marshall, Antonia White, Evalin Waugh, czy najwybitniejszy z nich Graham Greene narzucają sceptycznemu, religijnie oschłemu społeczeństwu swą żarliwą wiarę, posługując się często — dla wywołania silniejszego efektu — formą omal sensacyjną. I właśnie ta katolicka literatura Anglii pozwala najwięcej oczekiwać i najwięcej spełniać.

Przysięgając działając szerokość współczesnej literatury włoskiej. Wydaje się, jakby dziesiątki lat faszystom wyjął ją zupełnie z talentów, odwagi słowa i wrażliwości artystycznej. Giovanni Papini reprezentuje już tylko przeszłość. Z pisarzy współczesnej generacji właściwie wyłącznie twórczość Alberta Moravi stała nowi bezsporną pozycję. W poezji za dziwia Giuseppe Ungaretti. Wiersze tego znakomitego poety — trudne, krótkie, o wyszukanej ekspresji — nasycone są współczesnym dla wszelkiego cierpienia, zachwytem nad urokiem świata — choćby wymienić wiersze z niedawno wydanego tomu „Il Dolore“. Ich lektura działa jak orzeźwiający powiew w dusznych dziełach.

Chyba jeszcze nikłej, jeszcze mniej ciekawie przedstawia się literatura uprawiana w Niemczech zachodnich. Ulegając przemożnym wpływom pesymistycznych kierunków francuskich, powtarza za nimi katastrofizm, przeżycie nieuchronnego końca, lęk przed zagładą, okultyzm, ucieczkę w sen. Przykładem takiej twórczości może być książka Ernsta Jüngera — „Heliopolis“ — apokaliptyczny obraz zagłady cywilizacji ludzkiej. Cóż stąd, że dzieło to napisane jest z poetycznym artyzmem, noszącym znamiona genialności, jeśli jego sens społeczny jest tak szkodliwy i jeśli na czelnym efektem dzieła jest przerażenie?

Powrót do twórczości Roberta Musila, w której środowiska literackie Austrii i Niemiec zachodnich chciałyby widzieć wydarzenie podobne renesansowi Kafki, nie świadczy korzystnie o perspektywach rozwoju powieści w tych krajach. „Der Mann ohne Eigenschaften“ — „Człowiek bez charakteru“ — tytuł sławnej książki Musila, można by użyć właśnie do nazwania całego odłamu literatury rozwijającej się tam, literatury nijakiej, niezdecydowanej, bez charakteru. Cień starego już Tomasa Manna trwa nad nią wyniosły i odległy, jak cień świetnej i minionej epoki.

W literaturze Niemiec zachodnich niemalą rolę odgrywają pisarze katolicki reprezentujące niekiedy wartości wysokiej klasy artystycznej — choćby wymienić nazwiska następujące: Gertruda von Le Fort, Stefan Andres, Reinhold Schneider, Ida Görres, Romano Guardini...

## XI.

MGLY zasnuwające literacki firmament Zachodu ludzkość przypomina zmierzch. Jakież zostało wrażenie z przelotnego spojrzenia rzuconego w głąb tego firmamentu? Niepokój w różnych odmianach, obsesja śmierci i lęk przed nią, filozofie pesymizmu i absurdu, ideologie dziwaczne i niepełne. Zagadnienia źle postawione, w najlepszym wypadku bunt, który jest zamaskowaną ucieczką. Literatura Zachodu w większości swej jest przykładem ponurych wyników, jakie przynosi odciejęcie się od żywej, ludzkiej, dziejącej się nieustannie rzeczywistości.

Jednak wśród mgieł dostrzegamy i smugi światła, które sygnalizują, że ta literatura żyje i że biją w niej źródła twórczości, które obiecuje jej odrodzenie. Źródła te odkrywamy w twórczości tych pisarzy, którzy zaangażowali się po stronie człowieka, po stronie walki o jego przyszłość i szczęście. U tych, którzy — umiemy nawiązać do zawsze żywej tradycji swych kultur — równocześnie umiemy tradycje te przetwarzać w nowy i piękny kształt sztuki.

Mikołaj Bieszczadowski

# Kilka słów o:

## —filmio

### KATOLICKA NAGRODA FILMOWA

Nagroda „Biura filmu katolickiego” przyznana w czasie ostatniego Festiwalu w Cannes została obecnie wręczona Janowi Dreville za film „Horizons sans fin” (Horyzonty bez końca). Film ten opowiada o życiu bohatera lotniczeki francuskiej Helene Boucher. W uroczystości wręczenia nagrody wziął udział kardynał arcybiskup Paryża Mgr. Feltin. Obecny był także producent tego filmu A. Medioni oraz wszyscy aktorzy z Giselle Pascal, wykonawczynią głównej roli, na czele.

### SUKCES FILMÓW FRANCUSKICH W BERLINIE

W czasie ankiety przeprowadzonej w Berlinie wśród miłośników kina za najlepszy tegoroczny film uznano „Cenne strachu” produkcji H. G. Clouzot. Wyróżniono także dwa inne filmy francuskie „Zakazany owoc” Henryka Verneuil oraz „Wakacje pana Hulot” Jakuba Tati.

### ...W PARYŻU UZNANO ZA NAJLEPSZY FILM 1953 R. „ŚWIATŁA SCENY”

Natomiast w Paryżu ankietą rozpisana przez tygodnik „Cinéma” wytytułowała jako najlepszy film 1953 r. „Światła sceny” zrealizowany przez Chaplina. Jednocześnie ta sama ankietka uznała, że najbardziej lubianym aktorem filmowym we Francji jest w tym roku Gerard Philippe.

### JORIS IVENS KRECI FILM O MISTRZACH FLAMANDZKICH

Znany holenderski twórca filmów dokumentalnych Joris Ivens (który w ubiegłych latach współpracował z kinematografiami krajów demokracji ludowej CSR, Polska, NRD) przygotowuje obecnie w Holandii film o sztuce starych flamandzkich mistrzów.

### CO UJRZYMY NA EKRA- NACH W SIERPNIU?

W bieżącym miesiącu warszawskie kina wyświetlać będą

szereg ciekawych filmów o różnorodnej tematyce.

Kinematografię radziecką reprezentować będzie kilka obrazów. Przede wszystkim „As wywiadu”, emocjonujący film o działalności wywiadu radzieckiego w czasie II Wojny Światowej. Z dorobkiem ukraińskich zespołów artystycznych zapozna nas kolorowy film muzyczny „Na ukraińskiej estradzie”. Wzruszającym filmem jest „Maksymek”, którego akcja rozgrywa się w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Opowiada on o dziejach małego murzyna przesładowanego przez amerykańskich handlarzy nie wolników, który dostaje się przypadkowo pod serdeczną opiekę rosyjskich przyjaciół. Według noweli Gogola został zrealizowany film pt. „Noc majowa”. Przenosi on na ekran fantastyczną, baśniową historię miłosną.

Oprócz filmów radzieckich w sierpniu zobaczymy również zabawną komedię francuską pt. „Taksówka nr 3886” oraz film o życiu wybitnego kompozytora węgierskiego a zarazem bojownika o wolność i niezawisłość Węgier, Franciszka Erzele. Film ten nosi tytuł „Węgierskie melodie”.

## Muzyce

### FESTIWAL CHOPINOWSKI W DUSZNIKACH

Od 14 do 16 bm. odbędzie się w Dusznikach Zdroju VIII Festiwal Chopinowski, organizowany co roku dla upamiętnienia pobytu Chopina w sierpniu 1825 r.

W koncertach, które odbędą się w ramach tegorocznego Festiwalu, wezmą udział najwybitniejsi polscy pianiści, m.in. prof. Z. Drzewiecki oraz laureaci IV Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego — B. Hesse-Bukowska, S. Szymanowicz i R. Bakst.

Oprócz pianistów w Festiwalu wezmą udział śpiewacy — Stefania Wostowicz oraz J. S. Adamczewski, którzy wystąpią przy akompaniamencie prof. J. Lefelda.

### NOWY KIEROWNIK ZESPOŁU „MAZOWSZE”

Kierownikiem artystycznym Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze” mianowany zo-

stał Henryk Czyż, jeden z wybitniejszych kompozytorów i dyrygentów młodego pokolenia.

### WYNIKI II OGÓLNOWOJSKOWEGO PRZEGLĄDU ZESPOŁÓW ARTYSTYCZNYCH

W dniu 8 bm. w Teatrze Narodowym im. Wojska Polskiego odbyło się uroczyste zakończenie II Ogólnowojskowego Przeglądu Amatorskich Zespołów Artystycznych i wręczenie nagród wyróżniającym się zespołom i uczestnikom przeglądu.

Pierwszą nagrodę otrzymał zespół Bydgoskiego Okręgu Wojskowego, drugą nagrodę przyznano zespołowi Krakowskiego Okręgu Wojskowego, trzecią — zespołowi Marynarki Wojennej. Następne miejsca w przeglądzie zajęły: zespół Warszawskiego Okręgu Wojskowego, zespół Instytucji Centralnych MON, zespół wrocławskiego Okręgu Wojskowego i zespół Wojsk Lotniczych.

Ponadto nagrody otrzymały: zespoły Okręgu Krakowskiego za najlepsze odtworzenie pieśni i dobry akompaniament orkiestry oraz za najlepiej odtworzone tańce ludowe, zespół baletowy Marynarki Wojennej — za tańce kaszubskie i marynarskie oraz kwartet wokalny Wojsk Lotniczych i chór mieszany Instytucji Centralnych MON za dobre wykonanie pieśni.

### POŻEGNALNY WYSTĘP ARTYSTÓW UKRAIŃSKICH

Po sukcesach artystycznych odniesionych w szeregu miast polskich, 100-osobowy Państwowy Ukraiński Zespół Pieśni i Tańca pod kierownictwem laureata Nagrody Stalinowskiej G. Wierowki dał 9 bm. pożegnalny występ w hali ZS „Gwardia” w Warszawie.

Bogaty i urozmaicony program występów w wykonaniu chóru, zespołu instrumentów ludowych oraz grupy tanecznej składał się głównie z pieśni i ludowych tańców ukraińskich oraz pieśni i tańców innych narodów radzieckich. Publiczność przyjmowała entuzjastycznie artystów i długo nie milknącymi oklaskami zmuszała wyko-

nawców do bisowania poszczególnych punktów programu. Serdecznie przyjmowano także nasze piosenki śpiewane po polsku przez zespół.

## Literaturze

### ZGON KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO

Jak doniosła codzienna prasa, dnia 31 ub. m. zmarł w Zakopanem w wieku lat 69 Kornel Makuszyński, wybitny pisarz starszego pokolenia.

Makuszyński debiutował w 1902 r. jako poeta-liryk. Szczególną popularność zdobył sobie jako autor licznych, pełnych swoistego humoru opowiadań i nowel. Wydał również szereg powieści obyczajowych. Poważne miejsce w jego dorobku literackim zajmują książki dla dzieci i młodzieży.

Zmarły pisarz był jednocześnie krytykiem teatralnym i błyskotliwym felietonistą. Życie i twórczość Makuszyńskiego związane były ściśle z Zakopanem, w którym pisarz mieszkał od wielu lat.

### ZNANY LITERAT Z NRD PRZYBYŁ DO POLSKI

W ramach współpracy kulturalnej między Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną przybył w dniu 30 lipca br. do Warszawy znany literat niemiecki, profesor współczesnej literatury niemieckiej na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie — Alfred Kantorowicz.

Literat niemiecki w czasie trzytygodniowego pobytu w Polsce zapozna się z problematyką naszego życia kulturalnego zwiedzi Nową Hutę, Kraków, Stalinogród, Zakopanem, Gdańsk, Szczecin i inne miasta naszego kraju.

## Prastyce

### DZIESIĘCIOLECIE ŚMIERCI SOUTINE'A

W związku z dziesiątą rocznicą śmierci znanego francuskiego malarza Chaima Soutine'a zorganizowano w Paryżu w Galerii André Weil wystawę jego dzieł.

Chaim Soutine urodził się w 1894 r. na Litwie w pobliżu Mińska jako syn biednego krawca. W dwunastym roku życia ucieka do Wilna, gdzie pracuje u fotografa i równocześnie uczy się w szkole rysunków. W 1913 roku wyjeżdża do Paryża, gdzie początkowo cierpi skrajną nędzę. Człowiekiem, który wtedy zaopiekował się nim, był inny malarz francuski, Modigliani.

Dopiero w 1923 r. Soutine zaczyna zdobywać powodzenie i sprzedaje swe pierwsze obrazy. Maluje przede wszystkim martwe natury, zabite zwierzęta, kawałki mięsa (zwany był malarzem surowego mięsa). Początkowo sztukę jego cechuje skrajny pesymizm, w miarę jednak i pod wpływem obcowania z naturą jego wizja światła staje się bardziej pogodna. Namalował około 800 płócien.

### PLYWAJĄCA WYSTAWA SZTUKI

Zorganizowana przez Instytut Kultury Ludowych — pływająca na barce po Wiśle wystawa polskiej sztuki ludowej cieszy się ogromnym zainteresowaniem ludności miast, wsi i osad leżących nad brzegami Wisły.

Wystawa ta reprezentująca prawie wszystkie regiony naszego kraju, zawiera: stroje ludowe, ceramikę, tkaniny, hafty, wyroby wikliniarskie itp.

Wystawa w chwili obecnej znajduje się w Puławach. W sierpniu odwiedzi m. in.: Płock, Włocławek, Nieszawę, Ciechocinek, Toruń, Sołec Kujawski i Bydgoszcz.

### WYSTAWA POŚWIECONA POLSCE W PRADZE

W Pradze w ostatnich dniach lipca otwarto wystawę dwu czechosłowackich artystów Jana Błažka i Lwa Szimaka pt. „Polska Ludowa w pracach czechosłowackich artystów”. Zgromadzone tu prace wykonane podczas pobytu tych artystów w Polsce.

Wśród obrazów J. Błažka uwagę zwracają liczne szkice i rysunki ukazujące budowę Nowej Huty, odbudowę ze zniszczeń wojennych miast polskich. Wiele obrazów poświęcił artysta również Warszawie i jej budownictwu.

Akwarele L. Szimaka ukazują piękno polskiego krajobrazu, starą architekturę miasteczek oraz historyczne zabytki.

Anna OREZKO

## WIECZÓR WARSZAWSKI

Policz, księżycu, policz,  
Ile u nas topoli  
Na nowych ulicach stoi...

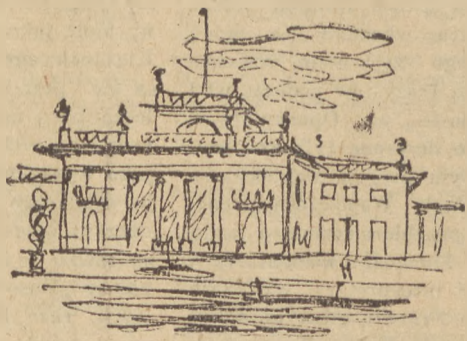


Rachuj księżycu, rachuj,  
Ile tu nowych dachów  
samotność koi...

Czy ci latarnia w mieście  
— Cieszcie się, ludzie, cieszcie —  
Latarni Aladyna  
Nie przypomina?

A te światła, te światła —  
— Rozkolebana tratwa  
Lśniaca, złota i krucha  
Na Wiśle.

To jak gdyby okazja,  
„Quasi una fantasia”,  
Żeby szczęścia posłuchać...  
— Jak myślisz?



Świeć, księżycu, nad nami,  
Potem trząśnij gwiazdami,  
Błyszniej w nieskończonej uliczce,  
Potem odleć do siebie  
I cichutko po niebie  
Przesuń sennym obłokiem  
Jak smyczkiem.

## Poeta dobroci



MARŁ poeta. Umarł poeta — i daremnie szukamy pociechy w arcyładnej maksymie łacińskiej głoszącej, że „ars longa, vita brevis”. Nie ze wszystkim dzieło zastąpi nam człowieka. Ze śmiercią Makuszyńskiego znikła z horyzontu naszego życia ktoś, do kogo byliśmy przywiązani bardzo osobliwym i specyficznym uczuciem. Dla dwu pokoleń, dla pokolenia swoich rówieśników oraz dla tego, które dziś godziłoby się nazwać — w najlepszym razie — „średnim”, był Makuszyński niemal instytucją. Mówimy: „Makuszyński” — i oto poczyna się szereg w naszej pamięci arkuszy starych gazet — jakies dawno zapomniane i zaprzepacone w niebycie „Rzeczypospolite” i „Warszawianki”, z których czytano na głos jego felietony. Kiedy byliśmy jeszcze jako bohaterowie niezapomnianych „bezgrzesznych lat” pana Kornela, stary, mnogociąg zamieszczanych w nim nekrologów raz po raz „Memento mori!” pod adresem swych czytelników wołający „Kurier Warszawski” i jeszcze inne, jeszcze wiele innych. Tak, pamiętamy „Bezgrzeszne lata”, „Awantury arabskie”, „O duchach, diabłach i kobietach”, „Fatalną szpilkę” i inne powieści i zbiory opowiadań Makuszyńskiego, ale jak najbardziej szczerze wyznajemy, że zdobył nas i zjednał dla swej Muzy, uczynił jej wielbielcami — wielbieliśmy czasem huntującymi się, kaprysującymi, udającymi rozczarowanie i przesył, ale przecież wiernymi — przede wszystkim jako felietonista.

Czy był wielkim felietonistą? Nie pora na ustalenie szarż i rang. Ważne jest co innego: w felietonach swoich był — bardziej nawet niż w wierszach — poetą. Podejmując tematy „szare” podsuniete przez troski i kłopoty powszedniego dnia, ironizował, kpil, szydził, ale przede wszystkim był humorystą. Humor zaś jest najczystszy i najnaturalniejszy wyrazem afirmacji istnienia. Humor jest czynnym stwierdzeniem stanu

przymierza między nami a naszym ludzkim i pozaludzkim oloczeniem. Humorysta jest człowiekiem zasadniczo dobrym i dlatego też dobroć, serdeczna życzliwość wobec człowieka była dominantą felietonistyki Makuszyńskiego. W tym właśnie dziele swej twórczości wypowiedział się on najmocniej i najpełniej (a czyż nie jest właściwie zbiorem felietonów również najlepsza z jego książek — „Bezgrzeszne lata”?)

Grał na jednej strunie? Tak, niewątpliwie. Jego apologia dobroci, jego czułość dla wszystkiego, co słabe, wątłe, bezradne, ma czasem odcień czułości. To jednak nie przesądza sprawy. Żył w czasach twardych, a nie należąc sam do kategorii bojowników i buntowników, przedstawiał się współczesnemu sobie złu tak jak umiał: współczułem dla cierpienia i niedoli, apoteozą dobroci, szlachetności, życzliwości człowieka dla człowieka. Kochał ludzi, może zbyt tkliwie, może bezradnie, ale szczerze i wiernie służył im sercem i talentem poety-humorysty.

Był nieodrodnym dzieckiem swej epoki, bez niego jednak ta epoka byłaby uboższa o jedno zjawisko bardzo typowe i — po jego popularności sądząc — bardzo ludziom tamtych czasów potrzebne.

Potrzebny był ludziom, ale potrzebny był też Panu Bogu. Bo czyż to nie ma w niebie całej gromady rozwrzeszczanych i rozhasanych basatyków, urwipolców, andrusów i hatiarów, z którymi nie bardzo potrafia sobie radzić anielskie preceptory? Musiano tam uchwalić, że trzeba tej najgłupszej hatastrze urządzić osobny raj, na obraz i podobieństwo opisanego w „Bezgrzesznych latach”, i dlatego zapotrzebowano jako najlepszego w tej branży fachowca — naszego kochanego pana Kornela.

S. L.